Nr 8 (1571). Warszawa, 25 lutego 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Pod godłem Staszyca.

W dniu 9-ym, 10 ym, i 11-ym b. m. odbywał się w Warszawie zjazd członków Tow. Kółek Rolniczych im. Staszyca. Nie zwrócił on uwagi większości prasy. Nie dziwno. Gromada dwustu kilkudziesięcia chłopów, która skrzyknęła się sama i radzi nad sprawami własnemi z punktu podstawowych zagadnień gospodarki społecznej, jest tematem leżącym poza widnokręgiem obrabianych w karnawale spraw bieżących;— to objaw życia nurtującego w tej „głębi" nieznanej kierownikiem opinji, zaprzysiężonym fosforyzującej powierzchni „skorupy" społecznej; — to utajony jeszcze szum nowej fali, co w podziemiach narodowego życia, z siłą żywiołu, żłobi sobie własną drogę.

Tow. Kółek Rolniczych im. Staszyca powstało przed kilku laty. Zmierzając do jednego celu: podniesienia ekonomicznego i kulturalnego poziomu szerokich mas ludności rolniczej, przeciwstawiło ono tradycyjnym hasłom pracy „dla ludu"—ideę samodzielności i zbiorowej samopomocy. Od chwili narodzin zwalczane, jako niebezpieczna fronda gwałcąca normalny, opromieniony dobroczynnym działaniem z góry, rozwój stosunków, — pozbawione wszelkiej zewnętrznej pomocy materjalnej, — zaniedbane przez postępową inteligencję po krótkotrwałym błysku zainteresowania, — Towarzystwo potrafiło jednak utrzymać się i stać ogniskiem,ześrodkowującym czynniejsze i śmielsze jednostki z pośród masy włościańskiej.

Przedstawione na Zjeździe sprawozdania stwierdziły bierną i formalną zaledwie rolę Zarządu głównego, wykazały natomiast samorzutne usiłowania, podjęte niejednokrotnie z impetem, a przeprowadzone z wytrwałością i powodzeniem przez odrośle zespolonej ściśle ideowo, a rosnącej wciąż liczebnie gromadki staszycowców — zaraniarzy. Ich dziełem są pierwsze zapoczątkowania współdzielczych ognisk przemysłu rolnego, jak: włościańska, spółkowa suszarnia cykorji w Makowie w Dobrzyńskim, mleczarnie i maślarnie spółkowe w Woli Skromowskiej, Bodzewie, Sadkowicach i inne. Projekty, rady wzajemne, doświadczenia, cała skala samouctwa i braterskiego współdziałania przesuwa się wciąż po szpaltach *Zarania*. A kto zna warunki życia wiejskiego ten zrozumie, że samorzutne zgromadzenie się 250-ciu[1]) włościan z różnych, najdalszych nawet, okolic kraju, jedynie w celu omówienia własnych usiłowań, bez widoków bezpośredniej korzyści jednostkowej, bez nadziei otrzymania komendy lub pomocy, — jest dowodem, że owa fronda, słaba dziś jeszcze ekonomicznie i organizacyjnie, nie jest jednak martwym wytworem doktryny, ale ideowym zaczynem rzeczywistego życia.

Tok obrad był również tego faktu stwierdzeniem.

Prezes Towarzystwa p. Tomasz Nocznicki, zagajając zebranie, dał krótki rys dążeń i poglądów Staszyca, jakby dla zadokumentowania, że nie samo imię, ale wnikające w jądro krajowego życia zasady społeczne tego męża są tu programowym godłem. Wygłoszone w ciągu 3-ch dni zjazdowych referaty, nieliczne zresztą, nie były literaturą do pobożnego wysłuchania, ani urzędową lekcją — ale poddawaniem pod wspólny rozmysł kwestji nasuwanych przez życie. Punkt ciężkości spoczywał też na dyskusji ożywionej i bujnej, choć utrzymanej w ramach powagi i karności.

Mówiono: „O stanie obecnym włościańskiej gospodarki rolnej" (referował p. Teofil Kurczak) „O no-

[1]) Zasługuje na podkreślenie, że gdy na zjazd delegatów C. T. R., liczącego około 500 kółek, przybyło 130 osób, na zjeździe 60 kółek Staszycowskich zebrało się członków niemal dwa razy więcej.

woczesnych zasadach wytwórczości rolnej" oraz „O stosunku rolnictwa do spożywców" (ref. p. L. Krzywicki) „O drożyźnie ziemi" (ref. M. Malinowski) „O pracy w Kółku rolniczym" (ref. Z. Chmielewski) „O szachownicy" (ref. I. Rabek) „O emigracji" (ref. W. Szukiewicz). W rozprawach powyższych ujawniło się wyraźnie świadome szukanie związku między faktami z życia własnego i pracy jednostkowej, a całokształtem społeczno-gospodarczego życia krajowego. Właściwe pracownikom ziemi „branie na rozum", w połączeniu z jasnem zrozumieniem ważności zajętego dobrowolnie stanowiska bojowników o lepsze jutro, wprowadzało w atmosferę pierwiastek zaufania i samopoczucie siły. Raz w raz słyszało się takie głosy: „Wszak wobec napaści na budzący się ruch ludowy z jednej strony, a ospałości licznych jeszcze rzesz braci naszych, my musimy wiedzieć, że naszym obowiązkiem jest wychować nowe pokolenie ludowe" (Stolnicki) lub: „Potrzeba stowarzyszenia się jest paląca, bo nas czeka walka z brakiem świadomości wśród ogółu włościańskiego, nam trzeba kopać głębokie fundamenty dla oświaty i kultury. Kooperatywy, kółka rolnicze, zrzeszenia— niech nie sądzą, że celem ich są jedynie zyski materjalne". (Nocznicki). A oto jeden z mówców przekonywa, że „czas już porwać te nici pajęczyny, którą kapitaliści oplątują drobnych producentów (cukrownia), czas tworzyć własne, na sprawiedliwości oparte, spółkowe przedsiębiorstwa". (Kurczak). Popierał go w tem dowodzeniu przedstawiciel takiego właśnie przedsiębiorstwa (spółkowej suszarni cykorji, Błaszczyk), kreśląc dzieje jego powstania i pomyślnego rozwoju. To znowu odzywa się głos słuchacza kursów rolniczych w Sokołówku, który przy omawianiu sprawy związków hodowlanych oświadcza: „jest nas, Sokołowiaków 36-ciu co rok, więc tylu corocznie przybędzie pracowników zdolnych prowadzić kontrolę obór, a przecież na to się chyba uczymy, żeby potem drugim służyć nabytą wiedzą". A wnet potem brzmią słowa kierownika onych kursów, czecha p. Gejera: „poznałem element waszej młodzieży włościańskiej, ona rokuje nadzieję na poprawę stosunków, — nawet bez poparcia materjalnego, w dzisiejszych warunkach".

W kolei rozpraw, referent mówiący „O pracy w kółkach rolniczych" postawił wniosek dotyczący stanowiska członków kółek Staszycowskich względem Centralnego Towarzystwa Rolniczego. Dyskusja nad tym punktem nie pozbawiona była zaprawy namiętności. Przez cały dzień niemal roztrząsano zasadniczo kwestję: czy należy dążyć do uczynienia Centr. Towarzystwa terenem do pracy w myśl szeroko pojętych potrzeb mas rolniczych — a zatym czy należy wprowadzać tam najzdolniejsze społecznie uświadomione jednostki włościańskie, aby one ten charakter instytucji, w jej obrębie, wywalczyły? Czy też należy przeciwstawić się instytucji o charakterze stanowym, zrezygnować z góry z subsydjów, których ona jest szafarką, aby w samodzielnej organizacji znaleźć ośrodek własnego życia, szkołę samodzielnego wyrabiania się ludzi, możność zużytkowywania sił nie na walki, a na samoistny, twórczy czyn.

Instyktowne, młodzieńcze, że tak powiem, dążenie do wypróbowania swych sił, obok argumentów rozumowych i uczuciowych, a w pewnej mierze i suma goryczy nagromadzonej w stosunku do żywiołów, które wrogą wobec samodzielnego ruchu ludowego przyjęły postawę — złożyły się na decyzję, która 170-u głosami przeciw 36-u odrzuciła wniosek wstępowania jednostek z pośród staszycowców do Centr. Tow. Okręgowych. Bezpośrednim następstwem tej decyzji były pełne animuszu rozprawy nad koniecznością zwiększania materjalnych zasobów własnego Towarzystwa Staszycowskiego, — uchwalenie kosztorysu stałego sekretarjatu, utrzymywanego drogą opodatkowania się wszystkich członków, według rozkładu z morga. Wybory członków Zarządu, oraz szczegółowe rozprawy nad wnioskami i wewnętrzną działalnością kółek, dopełniły programu tej „rady kmiecej", świadomej swych obywatelskich praw i obowiązków.

Irena Kosmowska.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

W końcu zeszłego tygodnia świat został zaskoczony znienacka notą rosyjską wystosowaną do Chin i żądającą w bardzo stanowczym tonie szeregu przywilejów w Mongolji, na podstawie traktatu t. zw. kuldżańskiego, zawartego w r. 1881, a którego termin upływa w sierpniu r. b. Nota p. Sazonowa żąda mianowicie zupełnej wolności handlu rosyjskiego, który w pasie granicznym 50-wiorstowym nie ma podlegać żadnym cłom, następnie eksterytorjalności poddanych rosyjskich w Chinach, wreszcie utworzenia całego szeregu konsulatów rosyjskich w Mongolji i Turkiestanie, na co dotąd Chiny nie chciały zezwolić. W razie niewypełnienia tych żądań zastrzega sobie rząd rosyjski prawo niezwłocznego wystąpienia z akcją czynną w prowincji kuldżańskiej, która zresztą już raz w r. 1871 była w jego rękach. Podczas gdy w Europie trwała wrzawa różnych domysłów i dociekań z powodu noty rosyjskiej, przyczem prasa francuska i angielska jednogłośnie wskazuje na ścisły związek tego aktu ze świeżą umową poczdamską — rząd chiński pośpieszył z odpowiedzią bardzo pojednawczą i oględną. Wskazując na bezpodstawność pewnej części zarzutów, czynionych władzom chińskim, nota rządu pekińskiego zgadza się na prawo eksterytorjalności poddanych rosyjskich w Chinach, aprobuje wolność handlu rosyjskiego w Mongolji, z pewnym bardzo nieznacznym ograniczeniem, wreszcie przyznaje Rosji prawo zakładania konsulatów w Kobdo, Hami i Gu-Czeu. Rząd chiński oświadcza nadto, że bynajmniej nie chce obalić traktatu kuldżańskiego, o co go posądzano, ale nie chce również rozszerzać jego postanowień na swoją oczywiście niekorzyść.

Ta pojednawcza odpowiedź — a innej nie można było oczekiwać — łagodzi w zarodku niemal zatarg, bardzo pesymistycznie komentowany w niektórych ośrodkach opinji politycznej, zdradzającej ostatniemi czasy nadmierną nerwowość i skłonność do najbardziej alarmujących hypotez. Chiny w dzisiejszym ich stanie nie mogą marzyć jeszcze o popieraniu swych praw siłą oręża; natomiast pewnym jest, że nota rosyjska pogłębi jeszcze antagonizm, który głucho nurtuje szerokie masy społeczeństwa chińskiego, gotującego się obecnie do epokowych przemian politycznych wewnątrz kraju. Niema wątpliwości, że odrodzone „młode Chiny", rozwijające się na podkładzie kiełkującego dopiero patrjotyzmu, staną kiedyś w bojowej gotowości na całym olbrzymim froncie od zatoki Peczili do Pamiru... Ale ta chwila nieprędko jeszcze nastąpi.

Opinja francuska, rozdrażniona paktem poczdamskim i dyslokacją sił rosyjskich na granicy zachodniej, o czym wspominaliśmy poprzednio, oskarża wręcz gabi-

net petersburski o bierne uleganie wpływom niemieckim, które półurzędowy *Temps* w sensacyjnym artykule charakteryzuje w ten sposób:

„Należy stwierdzić, że od lat trzydziestu skutkiem każdego zbliżenia się Rosji do Niemiec było zawsze wzmożenie się działalności rosyjskiej na Dalekim Wschodzie. Na drugi dzień po kontr-asekuracji rosyjsko-niemieckiej podpisanej w Skierniewicach w 1884 roku, pochód generała Komarowa do Afganistanu o mało nie wywołał zatargu angielsko-rosyjskiego.

W roku 1895 uroczystości w Kielu, w których oprócz floty rosyjskiej wzięła udział i flota francuska, schodzą się z akcją mającą na celu pozbawienie Japończyków rezultatów ich zwycięztw, akcją którą zrozumiano dopiero po usadowieniu się Rosjan w Port-Arturze, Niemców w Kiao-Czao.

Wobec tego nie można lekceważyć faktu, że właśnie po spotkaniu się w Poczdamie, tak źle zrozumianem przez niektórych — Rosja stanęła wobec Chin w postawie wyzywającej. Czy trzeba dodawać, że wszystkie przedsięwzięcia Rosji zainicjowane w Berlinie wywierają zawsze zły wpływ w Europie, szkodząc bądź to samej Rosji, bądź to jej sprzymierzeńcom, których kredyt dyplomatyczny i wojskowy zmniejsza się".

Komentarz *Tempsa* — a wyszedł on z pod pióra p. Tardieu, domniemanego w przyszłości ministra spraw zewnętrznych — skłonił ambasadę rosyjską w Paryżu do wystąpienia ze stanowczem *démenti*. Sądzimy ze swej strony, że obok wpływów berlińskich, o ile takowe istnieją, polityka p. Sazonowa inspirowana jest naturalnym zupełnie instynktem wetowania w kierunku najmniejszego oporu zawodów i porażek doznanych gdzieindziej; wybitna ta skłonnośc ekspansji rosyjskiej ujawniła się dotąd w Finlandji, w Chełmszczyźnie, w Persji — a ostatnio w Mongolji.

Neo-pozytywizm i neo-romantyzm.

(Dokończenie).

Ale nie mówiąc już o tym, że w innych dzielnicach Polskich, że raczej w Galicji mamy warunki dla urzeczywistnienia haseł roboty organicznej wielce korzystne, że w Poznańskiem nawet barbarzyński ucisk narodowościowy, nie wahający się wobec Polaków przed zawieszeniem *faktycznym* konstytucji państwowej, nie mógł zniszczyć ani osłabić świetnej wprost organizacji gospodarczej włościaństwa i warstw drobno-mieszczańskich, nie mówiąc już o tym, że nawet tam, gdzie warunki złożyły się inaczej, *pewne*, może najbardziej zasadnicze wskazania i zadania pracy pozytywnej, mogą być zawsze, nawet w najbardziej ujemnych stosunkach zewnętrznych, zrealizowane—i *to właśnie* stanowi ów wewnętrzny zgoła zasób energji narodowej, *niczym* niezniszczalnej, o którym myślał pozywityzm, wskazując drogi „wciskania się we wszystkie szczeliny" życia nam dostępnego. W ten sposób zrozumiał bowiem on tę najgłębszą prawdę życia zbiorowego, podyktowaną zasadą energietyki w zastosowaniu do zjawisk społecznych, iż życie to ani na moment stanąć nie może, że gdy pewne role czynu zbiorowego zawiodą choćby na razie, energje społeczne i jednostkowe muszą się z natury rzeczy zwracać w innych kierunkach, mogących liczyć w danej chwili na rozwój, gdyż chwil zaniku życie gromadne nie znosi długo.

I owóż pozytywizm był oznaką zwrotu sił narodowych w kierunku podyktowanym zasadą niemarnowania energji społecznej, zwrotu, który bynajmniej nie przesądzał i nie chciał przesądzać kwestji uprawnień i uzasadnienia „romantycznych przesłanek" w robocie społecznej, gdyż rozumiał snadnie, iż te znów w *innych* warunkach mogą się okazać właśnie najwyższą ekspansją czynu i energji narodowych.

Tak więc rozważając ideologję „pozytywistyczną" z punktu widzenia chwili przeszłej i teraźniejszej, trudno zaprawdę zrozumieć kwalifikację jej przez Studnickiego, który „obawia się serjo, czy inteligencja swym *starczym* duchem i *niewiarą* w możność osiągnięcia bytu politycznego, nie zatruje mas ludowych", żyje ona bowiem „przeżuwaniem dawnych haseł" (!), które sprawę polską chciały widzieć w połączeniu z reformami społecznymi i agrarnymi i t. p."

Szkoda wielka, że Studnicki nie określił jaśniej tych pogardliwych i t. p., lecz zdaje się, że miał tu na myśli właśnie to wszystko, co bezpośrednio i pośrednio dąży do wzmożenia organizmu narodowego pod względem gospodarczym, kulturalnym, więc do pewnego stopnia *wewnętrznym*, a przeciwstawiał temu wszystkiemu wyidealizowaną *bezpośrednią* walkę o *zewnętrzne* warunki narodowego bytu. Wprawdzie Studnicki, jeden z najszczerszych i najgłębiej myślących u nas publicystów sprawy polskiej, stara się wielce skomplikowanym obrazem karty europejskiej poprzeć swe plany bezpośredniego wyzwolenia narodowego, nieraz nawet nie tak znowu nieprawdopodobne; jednakże jest właśnie do... udowodnienia i to nie bynajmiej naukowo-publicystycznego, ale realnego, iż „chwila już dojrzała"—chwila, która na razie „gdy są insze sprawy", odsunie organiczną robotę od podstaw na rzecz „wielkiej budowy" gniazda własnego.

W każdym innym wypadku lekceważenie dla „realnych" haseł po 63 r. jest nieuzasadnione i może osłabić nasze siły społeczne, mozolnie zebrane i w Polsce nigdy zbyt u nas wysoko cenne. Chwili tej nie wyczuwamy jeszcze i to takiej, którąby skupiła wszystkie nasze siły ku jednemu celowi i celu tego środkom. Można i trzeba przygotowywać rzecz na długo przedtym, zanim dojrzeje, inaczej nie dojrzeje wcale, ale dopokąd warunki premissy nie złożą się na *powszechne* jej uzasadnienie, jednostronność i wyłączność haseł, mających na celu propagandę bezpośredniej realizacji, zanim ona sama stanie się koniecznością ludzi i stosunków, uważać trzeba za przedwczesne, oderwane... tęsknoty ludzi dziwnie i niepoprawnie romantycznych.

W życiu narodowo-społecznym nic nie ginie — winni o tym pamiętać ci wszyscy, co dzisiaj nad wartościami epoki pozytywnotycznej u nas chcą przejść do porządku dziennego. Bowiem w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewają, — wraca dziś ów „starczy duch" w młode przeszły dusze, które widząc pewną jednostronność i braki pozytywizmu z lat po-powstaniowych, umieją czcić i z niego brać to, co jest w nim społecznie ważne i trwałe. Tego zaś nie zniszczą lekkomyślne oceny, ani tym bardziej nieodpowiedzialne złej woli potwarze.

D-r Leon Biegeleisen.

Katolicka albo żadna?...

Gdy w Krakowie ksiądz Mytkowicz (wydawca *Głosu Narodu*) publicznie obwieszcza, iż Wszechnica Jagiellońska *musi być katolicka, albo jej nie będzie wcale*, — u nas zwarte szeregi kleru idą do ataku na szkołę średnią.

U nas bowiem, w Królestwie, kler jest upośledzony; w Królestwie niema uniwersytetu polskiego, więc kler poprzestać musi na roli niższej: zwalcza gimnazja polskie, nie mogąc zwalczać wszechnic.

Ale przyznać trzeba, że co może, to robi, i zato z podwójną robi energją.

Że zakres tej „roboty" stopniowo się zwęża, temu przeczyć niepodobna. Ongi były czasy świetniejsze: kościół palił kacerzy na stosach i w perzynę

obracał bibljoteki. A dzisiaj? Bóg świadkiem, że to pierwsze pachnie kryminałem, co zaś do burzenia książnic, to „Bibljoteka Publiczna” w Warszawie (pożal się Panie) nie zdobyła się nawet na własny gmach.

Cóż tedy kościołowi pozostaje? Konfiskować książki? — To się robi w miarę możności. Denuncjować badaczy niezależnych? I to się, potrosze, robi... nie bez powodzenia nawet. Istnieje teatr w Warszawie, dający niejakie oparcie polskiej twórczości dramatycznej? — Więc dyfamuje się z kazalnic polską sztukę dramatyczną.

I... czyżby już koniec? O! nie! Istnieje wszakże dotąd „Tow. Kultury Polskiej”, istnieje popierana przez nie szkoła, przetrwały resztki usiłowań i ognisk oświatowych. Dalej-że do walki z nimi! hej sowy, puhacze, kruki!

Uniwersytet musi być katolicki! szkoła musi być katolicka, albo jej nie będzie wcale!...

Znamy, pomnimy dobrze to zacne, stare, wypróbowane hasło! To nie jest frazes, to nie czczy okrzyk zapamiętania, to nieubłagana zapowiedź realizacji. Słyszeliśmy ją przed trzema laty: wołano wówczas: „Macierz szkolna” musi być katolicka, albo jej nie będzie wcale!” — i „Macierzy” niema. A potym jeszcze wołano: „Uniwersytet dla wszystkich” musi być katolicki, albo go nie będzie wcale!” - i „Uniwersytetu” także niema... Pozostała jeszcze szkoła polska: więc niech i ona przepada, jeśli nie podda się rygorom cenzury kościelnej!

Precz z dyrektorem świeckim, — ks. prefekt mieć winien głos naczelny.

Tajne okólniki arcypasterskie wiążą wszystkich ks. ks. katechetów w ciało solidarne, kontrolujące się nawzajem, zamknięte w sobie, czujne i waleczne.

Lekcje religji nie są objektywnym wykładem nauki, ale zaszczepianiem na umysłach młodocianych namiętności sekciarskich, jątrzącą propagandą fanatyzmu.

Wiemy o takich przykładach znieprawiania młodzieży przez kler, zobowiązujący ją do obłudy, do maskowania się, do skrytości, że wobec obszaru spustoszeń moralnych, czynionych w sercu dorastającego obecnie pokolenia, trwogą ogarnia nas myśl, jak wyglądać będzie nasze sumienie społeczne, gdy młodzież ta dojrzeje! Bo działanie kleru nie zawsze spotyka się z odporem przeciwwagi dodatniej, ze strony rodziców lub przewodników. Niekiedy zaś księża z góry zabezpieczają się od niepożądanych dla się wpływów na duszę dziecka, zakazując rozgłaszania tego, co się na lekcji mówi. Lekcje religji stają się lekcjami obmowy i oszczerstwa. Ksiądz, z namaszczeniem kapłaństwa, nicuje przez godzinę wykładową działalność i życie prywatne wybitnych pracowników postępu i wolnej myśli, spiętrzając góry kłamstw i potwarzy dokoła imion Swiętochowskiego lub Radlińskiego, a opuszczając klasę, podstępnie zastrzega: „Nie powtarzajcie tego swym rodzicom, nie zwierzajcie się nikomu”.

Jakie żarzewie walk wewnętrznych i rozterek w duszy młodej rodzić musi zastrzeżenie takie wówczas, gdy dziecko pod wpływem rosnących odruchów krytycyzmu, zaczyna przezierać politykę księdza i postanawia wreszcie przełamać jego zakaz, spowiadając dziecięcy dramat swój rodzicom! A jeśli go nie wyjawi, lub jeśli go rodzice nie zrozumieją?

Wówczas pójdzie w świat z sercem zatrutym nienawiścią, z oczyma zamglonymi przesądem, z myślą wypaczoną przez ciasnotę!

W imię takich ideałów duchowieństwo zdobywa szkoły polskie, bierze je szturmem gwałtownym, grożąc zagładą w razie dłuższego oporu. Dziś cała namiętność walki kleru zogniskowała się dokoła szkoły Kreczmara, popieranej przez T. K. P. Wskutek starań konsystorza Warszawskiego, władza okręgu naukowego zawiesiła Wojciecha Dynię w prawach prefekta tej szkoły. Ponieważ kler cały zbiorowo bojkotuje uczelnię, zarząd jej postanowił przedsięwziąć kroki wobec władzy, celem pozyskania prawa do wykładu religji dla osoby świeckiej, zasięgnąwszy uprzednio opinji śród rodziców młodzieży w sprawie rzeczonej reformy. Istnienie szkoły niezależnej jest postulatem całego postępu. Wysiłkiem tysiąca ramion podźwignąć i utrzymać ją musimy. „Katolicka albo żadna” — woła kler. My zaś odpowiemy: ktokolwiek w kraju, liczącym 80% analfabetów, niweczy szkołę — jest zbrodniarzem!

Jan Tarczewski.

Listy z Galicji.

VI.

Koło polskie a polityka zagraniczna Austrji. Głosowanie posłów polskich w parlamentarnej komisji budżetowej w sprawie odrębnego uniwersytetu rusińskiego.

Koło polskie trzymało się zawsze tej słusznej zasady, że w parlamencie austryjackim powinno zaspokajać istotne potrzeby państwa, którego niezależność i siła leżą w interesach naszego narodu.

Obecnie rząd austryjacki wystąpił do parlamentu z żądaniem uchwalenia bardzo znacznych sum dla armji i marynarki. Członkowie Koła polskiego, w licznych przemówieniach, starali się nieco ograniczyć te wymagania rządu, wykazując zarazem słusznie, że parlament musi uczynić zadość licznym potrzebom ludowym. Mówcy polscy nie odmówili państwu środków pieniężnych, krytykowali jednak to i owo w przedłożeniach rządowych.

Jest rzeczą charakterystyczną, że żaden z posłów polskich nie zdobył się na poważną, wielką mowę polityczną o polityce zagranicznej Austrji. A jednak mowa taka była potrzebna. Aż do lat ostatnich Koło polskie nie mieszało się prawie do polityki zagranicznej monarchji, do jej stosunku do państw obcych. Dopiero niedawno, pod wpływem zajść w Poznańskim— Koło polskie przez usta swoich członków, wypowiedziało kilka uwag o polityce pruskiej wobec Polaków i dało do poznania, że trudno mu będzie zachować się biernie wobec sojuszu niemiecko-austryjackiego.

Obecnie Austrja wkroczyła na wielką drogę polityki międzynarodowej i odgrywać zaczyna coraz większą rolę. Dlatego też zbroi się i wzmacnia śpiesznie swoją marynarkę.

Zjazd poczdamski zapoczątkował nowe ukształtowanie się stosunków politycznych w Europie. Zbliżenie się Rosji do Niemiec zdaje się zapowiadać nawiązanie stosunków przyjacielskich pomiędzy Austrją a Rosją. Widmo walki pomiędzy tymi państwami ustępuje. Cóż więc znaczy zbrojenie się Austrji, tworzenie silnej floty wojennej? Czy nie jest to oznaką przygotowań do popierania Niemiec w przyszłej wojnie z Anglją, albo do walki z Włochami?

Koło polskie powinno mieć jakiś pogląd własny na zagraniczną politykę Austrji. Jeżeli nie odmawia ono państwu poparcia finansowego, to powinno wiedzieć, dokąd ono dąży w swojej polityce zagranicznej.

Wojna a wojna, to są rzeczy bardzo różne.

Austrja może prowadzić taką wojnę, która nietylko by nie była dla Polaków niekorzystną, lecz przeciwnie nawet, doprowadzićby mogła do rezultatów dla nich pożądanych i odwrotnie, może być taka wojna, która dla nas jest albo zupełnie obojętna, albo nawet zabójcza. Zależy to od różnych okoliczności, o których tu mówić nie będę.

Polacy nie mogą wymagać, aby Austrja w polityce swojej liczyła się tylko z ich żądaniami; nieza-

wodnie jednak starać się powinni na politykę tę zdobywać wpływ coraz większy.

Jest to o tyle możliwe, że naogół interesy Austrji i Polaków nie są bynajmniej sprzeczne. Koło polskie musi się liczyć z tym faktem, że Austrja ma dynastję niemiecką, że Niemcy odgrywają w niej wielką rolę; byłoby więc utopją domagać się dziś zupełnego zerwania sojuszu Austrji z Niemcami, którego zresztą niepodobnaby zastąpić innym.

Uznając jednak fakt sojuszu Austrji z Niemcami, Koło polskie ma prawo domagać się, aby monarchja Habsburgów nie angażowała się zbytnio w popieraniu monarchji Hohenzollernów.

* * *

Zupełnie niespodzianie komisja budżetowa Rady Państwa uchwaliła, obok założenia uniwersytetu włoskiego, zwrócić się do rządu z żądaniem, aby przedsiębrał kroki celem otworzenia uniwersytetu rusińskiego w Galicji. Za uchwałą tą głosowali i posłowie polscy z Koła, między którymi był i poseł Tomaszewski, demokrata narodowy. Głosowanie to odbyło się widocznie bez uprzedniej konferencji w Kole polskim, gdyż organ Podolaków *Gazeta Narodowa* gromi za to polskich członków komisji.

W komisji tej zasiadał z poza Koła, z pośród Polaków, także poseł Diamand, socjalista, szczery zwolennik utworzenia odrębnego uniwersytetu rusińskiego. Co skłoniło posłów polskich z Koła do takiego głosowania? Jedni twierdzą, że chcieli pokazać posłom innych narodowości, że nie są przeciwnikami uniwersytetu rusińskiego, wiedząc zresztą, że od takiej ogólnikowej uchwały do urzeczywistnienia bardzo jeszsze daleko; inni sądzą, że rząd centralny wywarł tu „prywatnie" pewien nacisk.

W każdym razie uchwała ta ma zawsze pewne znaczenie, utrudnia bowiem Kołu przeciwdziałanie w przyszłości powstaniu odrębnego uniwersytetu rusińskiego.

Posłowie rusińscy domagali się, aby uchwała komisji wyznaczyła Lwów za miejsce dla przyszłego uniwersytetu i aby nazwała go ukraińskim. Posłowie polscy na to się nie zgodzili. Być może, że chcieliby go widzieć gdzieś w małym jakimś mieście, posiadającym katedry rusińskie i rosyjskie, aby zadowolić i moskalofilów.

Polityka, polegająca na równorzędnym traktowaniu moskalofilów z ukraińcami, popularną jest w kołach Podolaków i narodowych demokratów. Jest to polityka krótkowidzów i demagogów. Wydała już ona wiele skutków ujemnych.

Ruch moskalofilski jest sztuczny i nie ma szerszych podstaw wśród ludu, jest to ruch prowadzony przez bardzo słaby odłam inteligiencji, znajdującej punkt oparcia zewnątrz...

Zapewne sprawa powstania uniwersytetu rusińskiego utknie z powodu sporów o miejsce jego założenia.

Za Lwowem, zdaniem Rusinów, przemawia ta okoliczność, że, jakkolwiek Rusini stanowią w nim mniejszość, (na 205,000 mieszkańców jest ich około 30,000), to jednak w żadnym innym mieście niema ich tylu. Następnie zwracają uwagę na to, że ponieważ nowy uniwersytet nie powstałby odrazu, więc przez czas jakiś jego słuchacze musieliby korzystać z bibljoteki i laboratorjów uniwersytetu polskiego.

Polacy przeważnie chcieliby widzieć uniwersytet rusiński nie we Lwowie, lecz gdzieś w Stanisławowie, w Stryju, albo nawet w Kołomyi. Niechętni są zwiększeniu procentowemu liczby Rusinów we Lwowie...

Obawy te są przesadzone. Wszak już obecnie jest we Lwowie około 1000 studentów rusińskich. Z drugiej znowu strony, nie można utrudniać Rusinom korzystania z uniwersytetu z obawy, że procent ich w stolicy zwiększy się. Chociaż Lwów nie jest miastem przeważnie rusińskim, to jednak Rusini sa tak dobrze jego mieszkańcami jak i Polacy. Zresztą inne czynniki, jak np. napływ włościan jednej lub drugiej narodowości do miasta, mieć będą większe znaczenie dla jego charakteru, niż obecność studentów.

Nie warto więc wszczynać walki z powodu miejsca, w którym stanąć ma uniwersytet rusiński. Możnaby jednak kwestję tę rozpatrzyć z innego nawet stanowiska i wykazać, że może dla samych Rusinów lepiejby było mieć własny uniwersytet w innym mieście.

Istotnie, trudno im marzyć, aby Lwów stać się mógł, zwłaszcza w bliższej przyszłości, ich miastem. Polski jego charakter jest produktem wielu wieków. Z drugiej strony Rusini potrzebują mieć jakieś swoje miasto, jakieś własne centrum kulturalno-polityczne. Otóż, gdyby uniwersytet ich powstał np. w Stryju, albo Stanisławowie, to jedno, albo drugie z tych miast mogłoby w bliższej przyszłości stać się takim centrem życia rusińskiego.

Ludwik Kulczycki

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

II.

Niedojrzały owoc. Nienawiść i pogarda, z jaką faktorzy czynu zwracają się do poprzedzających go stadjów, jest niecierpliwością wyrostka, którygy przeklinał drzewo, że nie może zeń strząść niedojrzałych jeszcze gruszek (czasem trzęsie wierzbą). Prawdziwy czyn nigdy nie może żywić tyle nienawiści do swoich zarodni, ile go ma histerja czynu. Następuje on gładko po namyśle tuż poprzedzającym lub dawniejszym, — jest czymś, co się samo przez się rozumie, gdy wszystkie władze duszy są w równowadze.

„Czas uderzyć w czynów stal". Tak jest; połóżmy więc tę stal na kowadło i uderzmy w nią!

Trzecie dno sumienia czynu. O Czynie, może ty jesteś tylko ucieczką przed czynem? Uproszczeniem sobie pracy, fałszem duchowym, kupionym za cenę bohaterstwa? Próżniacy miewają nagłe napady energji, kiedy chcieliby odrazu jednym zamachem uzupełnić lata stracone. I jak pedanterja jest surogatem prawdziwej pilności, tak czyn może być przysłonięciem tego, co właściwie zdziałać należało. Jego przesada jest skutkiem jakiegeś ominięcia, jego rozmach pochodzi z odepchnięcia się, z niepokoju, z drżących palców. Zawsze, gdzie zachodzi czyn, lub ofiara,—zapytać można: co tu zostało zeskamotowane?

Czyn zwyrodniały jest korelatem zwyrodnienia myśli, a nawet bardzo często tylko zwyrodniałą myślą lub wolą. Jaskrawe przeciwstawienie tych dwuch dziedzin jest najsroższym ciosem, jaki zadało umysłowi, sercu i nerwom — chrześcijaństwo.

Praca organiczna. Jeżeli się dziś z zapałem dekretuje u nas bankructwo pozytywizmu, uświadamiania, budowania i t. p., to nasuwają się dwie wątpliwości. Pierwsza: czy to, co pozostało najlepszego i trwałego u nas, nie jest przecież bliższym lub dalszym wynikiem pozytywizmu? Powtóre: czy ten pozytywizm, jaki był, nie był a priori zbyt polskim, to jest fałszowanym (nie w intencji lecz w przyjęciu przez ogół)? I teraz się przytacza jako dowód: mieliśmy przecież pozytywizm i cóż z tego...

Czyn jako likwidacja. Niejeden czyn nie zostałby dokonany, gdyby nie obawa, że tymcza-

sem coś się stanie poza naszą wolą. I dlatego czyn bywa nieraz wynikiem jakiejś likwidacji, wyrażającej się czynnie, a mimo to — biernej i przymusowej. Pokrywa to hałasem. Czyn zaś miałby być pono zamierzoną likwidacją własnej przeszłości z własnej woli. (Socjalista: Czyli, wyrażając się po burżujsku, obcinaniem kuponów, inkasowaniem narosłych procentów od ulokowanego kapitału).

P o d e j ś c i e w n a z w i e. Dalszy proces tworzenia się nazwy nadał specjalne znaczenie słowu „czyn" i przesunął je, zbrutalizował, wybierając z pośród różnych form czynu formę najgwałtowniejszą, najbardziej arogancką i faryzeuszowską.

C z y n d e s t y l o w a n y. W czystej swej formie czyn stacza się wnet do czynu wojennego i nie potrzeba na to aż specjalnych okoliczności, gdyż tkwi to w konsekwencji pojęcia czynu. Aby w chaosie skutków nie zatracić pierwotnego charakteru i racji bytu, musi czyn przedewszystkim odbijać swą własną naturę w symbolach zewnętrznych i przechodzić od jednego samopotwierdzenia do drugiego. Najobfitszy zaś i najwidoczniejszy symbol zdobywa się na wrogu. Zabiwszy go lub zwyciężywszy, powiększamy swoje „ja" o wszystkie znane nam i nieznane a w wyobraźni wyolbrzymione wartości i potęgi jego „ja", windykujemy je sobie i osiągamy stan bardzo perspektywiczny, jakby odrodzenia się. Na tym polegał u dzikich zwyczaj zjadania serc wroga, to też tłómaczy szał symboliczny jaki daje wygrana bitwa. Niemcy, wtargnąwszy do Paryża, mieli z pewnością wrażenie, że powiększają się o całą kulturę francuską. Głód zwycięstwa był pierwszym głodem człowieka poza głodem czysto fizycznym. (I miłość można rozpatrywać z tego stanowiska). Ale nawet przegrana przez sam fakt postawienia swego życia na kartę przenosi nas w ów stan odrodzenia—podobnie jak w pojedynku „oczyzcza honor". Że w tych bitwach może iść także o jakiś cel konkretny, to jest ze stanowiska *interesów czynu jako czynu* rzeczą uboczną.

P o g a r d a ś m i e r c i. Tytus Filipowicz (autor znakomitych „Marzeń politycznych") opiera się w swoich „Djalogach o życiu i śmierci" na tych właśnie racjach pojedynkowych i żąda właśnie takiego potwierdzenia się. To można jednak stosować tylko do jednostki, nie do narodu. Pogardą śmierci nie da się ojczyzny wyłudzić. Ojczyzna nie jest też Molochem, który wymaga ofiar z ciał, i nikt też nie ma prawa narzucać tych ofiar narodowi w imię narodu. Musi nastąpić demokratyzacja wszystkich środków służenia ojczyźnie: gdy każdy czyn pospolity stanie się tak rzetelnym jak śmierć, śmierć przestanie być czynem wyjątkowym. Usługa krwi może być najmniejszą usługą.

T e r o r ś m i e r c i. Zresztą nieprawdą jest, jakoby każdej chwili brakło w Polsce 50,000 ludzi gotowych umrzeć. Ordynarną perfidją jest, gdy która partja zarzuca drugiej tchórzostwo — jest to ostatnie rozpaczliwe *argumentum ad hominem*. Tylko, że każdy chce zginąć za swoją ideę, to znaczy, według własnego umieramisię.

L o s o w i f u r t k ę o t w o r z y ć. Bojować, czy budować? tak nareszcie zapytał się i Daniłowski i orzekł, że budowanie jest „wprawdzie", bojowanie zaś „ale". Otóż chodzi właśnie o procentowe ustosunkowanie tych dwuch czynników. I to równoczesne. Żadnego „przedtym" i „potym", żadnego „zdobywania terenu pod pracę" i naginania faktów do tej zachcianki, gdyż rozwiązywanie wszystkich problematów postępuje równocześnie. Możnaby wykazać nawet, jak problematy estetyczne postępują razem ze społecznymi, rewolucyjnymi, militarnymi. Rozwiązywanie jest tu zresztą, jak wszędzie tylko zamianą jednej zagadki na drugą. Otóż można główny kapitał ulokować w dobrym przedsiębiorstwie, a za część kupić dobry los. Postawić jednak wszystko na loterji — znaczy przyznać się że się jest absolutnym biedakiem.

P r o w o k a t o r z y. Nie potrzeba szukać prowokatorów Czynu, gdyż on sam, tak jak się go u nas rozumie, jest od urodzenia autoprowokacją. Fakt znalezienia się później prowokatorów jest tylko koniecznym następstwem i uzupełnieniem swej dyspozycji psychicznej.

R a c j a b y t u. Czyn ma rzekomo zawsze rację, bo jest (nareszcie). Wiek jest, belladona jest. Zamów swoją kiepską rację na istnienie a będziesz miał zawsze rację. Przekonasz przynajmniej samego siebie.

„Ś w i a t j e s t c z y n e m". Oto i rezonans filozoficzny! Brzozowski we „Wstępie do filozofji" oburza się bardzo na to, żeby cokolwiek uważać za „dane, zastane" i wywodzi, że świat jest czynem, co naturalnie daje mu wiele efektów stylistycznych i moralnych o potędze człowieka. Ostatecznie jednak pokazuje się, że ten świat jest zbudowany nie przez „ja", lecz przez „jaźń", buduje go nie ten jeden konkretny człowiek, lecz suma pracy wszystkich pokoleń. To jest już jednak całkowita zmiana perspektywy, całkiem inna rachuba czasu. Czy te wcześniejsze stadja kultury przebiegamy w drodze filogenezy, odbijającej ontogenezę, czy w drodze krótkiego ćwiczenia — jak sądzą pewni fizjologowie, czy też one tkwią w otaczających nas narzędziach i urządzeniach — to na jedno wyjdzie; zawsze przynajmniej ta suma doświadczeń przodków będzie dla nas czemś „danem, zastanem" i wszelki regres nic tu nie pomoże. W pismach Brzozowskiego znać powrót metody genetycznej. Człowiek indywidualny jest całkiem innym stworzeniem, nie atomem człowieka zbiorowego. Nie można go ani badać, ani nakreślać mu zadań *sub specie aeternitatis*. Brzozowski nie ma zmysłu dla człowieka indywidualnego, jedyną konkretnością dla niego jest człowiek historyczny — ten wynalazek socjalistów, zrobiony dla zabicia wynalazku Russa, Stirnera. U niego bije tylko zegar kosmiczny, vor lanter Wald rich er die Bäume nicht".

Brud myślowy jest tu ten sam, co u filozofów, którzy obiecują człowiekowi nieśmiertelność, lecz w zmienionej formie z wygaśnięciem świadomości indywidualnej. To jest bardzo piękne i szczytne, ale jest to „nieśmiertelność" zupełnie niewspółmierna z tą, o jaką chodzi naszemu uczuciu, gdy marzy o przedłużeniu życia poza grób.

Karol Irzykowski.

BELETRYSTYKA.

Rebus.

Złamała się wielkość na wichrze...
— powód do fizolofji — powiadają jedni,
i przyczyn w mózgach otwierają spichrze –
drudzy, — że duchem bardziej niepośledni,
proroczą skutki, ganiąc to co lichsze,
od jęzèyczenia powstrzymać się nie chcąc.

Wszyscy — leniwie żyją skargą bredni,
wartością wspomnień po sercu się łechcąc,
prorocząc skutki, ganiąc to lichsze...
Gdy wielkość... dalej łamie się na wichrze...

Mistrz.

Kunszt formą zmuszam
do chceń, do posłuchu —
— życiem wypełniam —
Królestwo na duchu;
przeciwne woli marzenia zagłuszam,
zdrewniałe serca
do pragnień przymuszam.

Życie wieczności czynię podobieństwem,
Boga z wszelkości do życia swobodzę,
zdobywam prawdę przesileń męczeństwem —
— słońca pioruny wiosnami przywodzę.

Niech nikt nie sięga na mych chceń koleje!
niechaj szaleństwa nadziei nie grodzi,
— choć wielkość moją proch trądu rozsieje —
wielkość powróci. — Duch ją wyswobodzi!

Bruno Dymowski.

KRYTYKA.

Tako rzecze pan Weyssenhoff.

Przyznajmy to zaraz na początku autorowi „Podfilipskiego" i „Hetmanów", [1]) (by już więcej do tego tematu nie wracać), że po mistrzowsku umie — *wypowiadać siebie.* Jest to jedna z najbardziej rozbrajających cnót artysty. Wyłącza wszelką nieszczerość w stosunku do czytelnika, wszelkie nieporozumienia i zmijania się w drodze. Styl p. Weyssenhoffa jest niczym innym, jak nurtem przejrzystości, zapatrzonej w siebie. Pióro, którym swe powieści pisze, jest piórem ze skrzydeł jego duszy (Nowaczyński rzekłby: duszyczki); sięga ono tak daleko, jak szerokim jest władanie duszy; końcem tego pióra można zatoczyć dokładne granice dokoła indywidualności autora, wraz z jego sercem, rozumem i wyobraźnią. Jest ono dość głębokie, aby z dna jej wydobyć całą rzeczywistość przeżyć, a równocześnie sięga wierzchołka najlotniejszych marzeń, aby zeń otrząsać pajęczynę ułud.

W całej współczesnej literaturze polskiej, prócz Sienkiewicza może, nie znajdziemy u nikogo takiej równowagi i harmonji między treścią duszy a skalą wypowiedzi, jak u p. Weyssenhoffa.

W każdym z jego utworów, zarówno poprzednich, jak i w ostatnim, tkwi zawarta cała jego indywidualność — od podstaw aż do szczytu. Różnica między nimi sprowadza się tylko do tego, że, gdy w „Podfilipskim" mieliśmy negatyw obrazu, w innych utworach mamy odbicie pozytywne tegoż obrazu, a w „Hetmanach" np. oba odbicia równolegle.

Natury twórcze, pokrewne p. Weyssenhoffowi, posiadają boski przywilej *jedyności* i *ostateczności* wyrazu dla swej wewnętrznej istoty; bez żadnej ujmy dla ducha, bez uszczerbku dla rozwoju, mogłyby poprzestać na napisaniu jednej tylko książki: są to typowi *homines unius libri.*

Każda powieść p. Weyssenhoffa czyni zbytecznymi resztę; już z pierwszej, na dobrą sprawę, możnaby wysnuć pozostałe, a raczej wywołać je, jak się wywołuje odbicie w zwierciadle, gdyż wielość ich powstała nie przez ciągłość konsekwentnego rozwoju, lecz w drodze powtarzania tego samego typu.

Kto wie, czy poczytność i sympatje ogółu dla autora „Dołęgi" nie płyną dzisiaj stąd, że jest on tak dobrze wszystkim znany, że tak doskonale można się w świecie pomysłów jego orjentować! Żadnej niespodzianki, żadnego zawodu!

Filister, krocząc po znajomym sobie terenie myślowym, podwójnej doznaje rozkoszy: naprzód, spotyka się on z wymownym potwierdzeniem tych rzeczy, które już wie, ma tedy rzadką sposoboość zaszczytnego dla siebie poczucia przewagi nad autorem, człekiem sławnym, którego pono ceni cały naród; powtóre krzepi on swe lenistwo duchowe ponętną fikcją, że wciąż utrzymuje się w poglądach swych na poziomie współczesnego myślenia, że *nil novi sub sole*, a więc dalsze wysiłki i zmagania się myśli są zgoła niepotrzebne,

Twórczość p. Weyssenhoffa stoi jak gościnnie rozwarty salon, w którym mile spędzić można parę godzin na rozmowie z dowcipnymi ludźmi; salon oświetlony jest *a giorno*, uwydatniając wszelkie szczegóły i osobliwości budowy oraz urządzenia; rozmowa toczy się głośno i niekłopotliwie, a zawsze bywa interesująca; stale unika głębin i tajemnic, natomiast z wdziękiem pieszczoty przesuwa się po drobiazgach, nanizując klejnoty zmysłowych wrażeń na złotą nić — epikureizmu.

Nikt z pisarzy polskich, w równym, co p. Weyssenhoff, stopniu nie miałby prawa rzec o sobie, że: on i dzieło jego — to jedno. Tak, bez zastrzeżeń, może powiedzieć o sobie tylko autor „Syna Marnotrawnego". Tylko u niego bowiem każda powieść staje się wyczerpaniem jego jaźni twórczej — aż do dna.

Tam, gdzie kończy się powieść p. Weyssenhoffa— kończy się zarazem sam pan Weyssenhoff.

Każdą swą rzecz następną rozpoczyna on nie od tego miejsca, w którym rozstał się z poprzednią, ale od pierwotnego punktu ideowego, w którym rozpoczynał wszystkie poprzednie.

To też prace jego z czasem spiętrzyć się mogą w pokaźny wcale stos, ale nigdy nie rozwiną się w linję historji, nie stworzą jakiegokolwiek — w obrębie ducha — kierunku.

Jaskrawa przeciwstawność istnieje między nim a całym obozem sił twórczych „Młodej Polski". P. Weyssenhoffa cenimy za to, czego dokonał; tamtych cenimy i kochamy także za to, czego dokonać mogli lub mogą; ukochaliśmy ich za obszar tęsknoty, za szczytność porywu, za wielkość usiłowań, przekraczających granicę ziszczenia. W Kasprowiczu i Przybyszewskim, w Żeromskim, nawet w Sieroszewskim i Strugu uwielbiliśmy nadewszystko tkwiące w nich cudowne możliwości, rzeczy niewypowiedziane i które przez nich, być może, nigdy wypowiedziane nie będą. Siła indywidualna tych ludzi przerasta ich działa, przelewa się przez krawędzie formy, rozsadzając ją wielekroć, jak lawa wulkanu rozsadza gmachy gór. Potęga tworzenia, bijąca z praźródeł duszy, sięga wyżej i głębiej, niż najwyższe i najgłębsze jej przejawy, zawsze środkami materjalnymi ograniczone w swej realizacji, zawsze zamknięte w sobie. Zaciasno jest dla niej w ramach płótna lub książki, nie wypowie jej ani barwa, ani słowo, ani śpiew. Pogłębić słowo głębokością muzyki, uskrzydlić je rytmem, a jednocześnie przetopić na barwę i potym barwę tę rozelśnić w światło; — oto synteza usiłowań, oto niedosiężny kres marzeń dla twórców owych, daremnie zmagających się z żywiołami własnej duszy; oto ich męka wieczysta — tworzenia!

Pan Weyssenhoff takiej męki nie zna.

Pod każdym słowem Żeromskiego pali się głębia podziemnego żaru; obrazy i rytmy Wyspiańskiego są jako schody tęczowe, po których zstępujemy w mrok i w milczenie otchłani, kryjącej światy zatopione. Gdy

[1]) „Hetmani" — powieść współczesna, przez Józefa Weyssenhoffa, 1911.

wizje tych artystów gasną i gdy ostatnie słowo ich ucicha, mówią do nas jeszcze milczące obszary ich duchów mową tajemną, którą po drżeniu strun własnej duszy — poznajemy.

Dzieła p. Weyssenhoffa możemy podziwiać, z twórczością tamtych—współczujemy, bo drga w niej serce własnych naszych niepokojów, bo sięgamy po przez nią w naszą własną przyszłość.

Dla p. Weyssenhoffa przyszłość, jako dziedzina naszych zadań, obecna przed oczyma duszy, nie istnieje; przeszłość zaś jest dlań malowidłem odsuniętym na odległość estetycznego obserwowania: nie widzi on w niej napięcia sił lub rozdarcia walki, nie widzi bolesnych przełomów, okupionych pracą i pracy — pojonej krwią. Nie zna on rozkoszy oczekiwań, nieznany też mu jest smutek — przemijania.

W całej twórczości p. Weyssenhoffa nie znajdziemy ani cienia smutku; jest to jedyny obecnie zakątek literatury polskiej, wolny od melancholji i posępnej zadumy. Pan Weyssenhoff może niekiedy doznać niesmaku, może nad czymś ubolewać, ale smutny nie bywa nigdy. I pocóż miałby się smucić? Smutni bywają ci, którzy dążą, ci, którzy cierpią i oddychają cierpieniem innych, ci przedewszystkim, którzy, wyrywając się ku górze, usiłują dźwignąć wraz z sobą dolę człowieczeństwa.

P. Weyssenhoff, wybredny artysta ironji, delikatny tłomacz Hejnego, chce brać z życia jak najmniej; zna on wybornie smak życia, lecz poprzestaje na smaku chwili: tyle tylko bierze, ile odbić w sobie zdoła jego satyryczne zwierciadło; a przytym, jakże się lęka nieraz, by nazbyt silna rzeczywistość tego zwierciadła jego nie rozbiła! To też, każdej chwili, zazdrosny o swą nietykalną wyniosłość, czujnie przestrzega dystansu między Sobą a Światem.

— *Życie bowiem może sobie nienawidzieć tych, którzy je kochają; to jest w porządku rzeczy. Ale bezwzględny szacunek czuć winno dla tych, którzy zeń szydzą!*

Tako rzecze p. Weyssenhoff — — —

* * *

...A raczej tak mówił p. Weyssenhoff dotychczas, gdyż odtąd imieniem jego przemawiać będzie pan Tadeusz Sworski, imieniem jego — i „hetmanów" i całej „historycznej" Polski.

P. Sworski pochodzi ze szlachty, „jak wszyscy u nas". Czasy są demokratyczne, to prawda, ale proces demokratyzacji przeprowadza szlachta. Wyznaje on zresztą otwarcie, że „znudziło mu się już być szlachcicem", zbyt wiele bowiem widział karykatur wielkich panów.

„Dawniej wielki pan był jedynie wybujałym okazem szlachcica-obywatela, gdyż nie znaliśmy ani feudalizmu, ani zasadniczej różnicy prawnej między mniejszą a większą szlachtą. Dopiero przed upadkiem Rzeczypospolitej zaczęła się arystokracja wyodrębniać i osamotniać, dzisiaj zaś doszła do karykaturalnej swej doskonałości. Nic jej nie wiąże ze sprawą narodu, tylko posiadanie na miejscu, w kraju, wielkich obszarów ziemi. Oprócz paru wyjątków, skąpiec, zdzierca i kosmopolita są typami charakterystycznymi tej kategorji, odłączonej już nawet przez haniebne tradycje stuletnie od narodu".

Ta „wielka" szlachta odstręcza Sworskiego od szlachectwa wogóle. Narodową *gentry* — powiada on — wypada już dzisiaj nazwać inaczej, choćby dla przyzwoitości.

Ta dosadność w charakterystyce „naszych" rodów „historycznych" każe domyślać się w p. Sworskim przyszłego sympatyka socjalizmu, bah! nawet czynnego rewolucjonisty. Każdy bowiem, kto wypatruje podłostki magnatów i wynosi je na światło dzienne, jako tryumfalną zdobycz, pozyskuje w oczach p. Weyssenhoffa patent na rewolucjonistę.

Jakoż, istotnie, domysły nas nie mylą. W roku 1905 znajdujemy p. Sworskiego w szeregach Polskiej Partji Socjalistycznej, walczącego o prawa ludu. P. Weyssenhoff atoli obmyślił dlań sposób walki... bardzo przyjemny. Chęć służenia proletarjatowi rzuca tego rycerza rewolucji w rozkoszne ramiona baronowej Paugwitz, w której kochał się oddawna i która także kochać go pragnęła.

On daje jej swą miłość i war swej młodej krwi sarmackiej, ona oddaje mu siebie... i ponadto ofiaruje znaczne sumy na uzbrojenie rewolucji. Teren działalności publicznej szybko zacieśnia się dla p. Sworskiego w granicach salonu i alkowy miłosnej pięknej pani Heli, która „dogadzała mu pieszczotliwie, jak odaliska pomysłowa, przyjmująca u siebie sułtana". Częstokroć przetrzymywała go u siebie po kilka dni, nie wypuszczając z domu. Żywiła go i ukrywała w sypialni, gdy przychodzili do niej goście, to znowu w salonie, gdy sprzątano sypialnię.

„Powracała do mnie w kilku przebraniach, — spowiada się rozrzewniony tym wspomnieniem rewocjonista p. Weyssenhoffa, — cudna zawsze, nieskończona w ponętach. Te półmroki i oświetlenia! te owoce z winem w nocy spożywane, po rzymsku! Te lubieżne spólnictwa luster, całujących fal kąpieli! Czego taka kobieta namiętnością nie przeczaruje? Jaką Sybaris stworzyć może z hotelowego mieszkania!"

W momencie takiego to uniesienia zastaje p. Sworskiego — wielki strejk powszechny! O, nie myślcie, aby dzielny ten rycerz nie doznał w objęciach swej kochanki poważnych wyrzutów sumienia — na pierwszą uderzającą wieść o strejku! Wszak od tego jest on bohaterem powieściowym! Wszelako mężnie stawia im czoło i — pozostaje w sypialni. Nie nęci go już niebezpieczeństwo ulicy: miast stać w przerzedzonych szeregach towarzyszy, on stoi przed lustrem ze swą odaliską i patrzy, jak cudnie barwa jego skóry „harmonizuje" ze skórą kochanki!

Za taką cenę, za cenę takiej „harmonizacji", p. Sworski zgadza się na *ideową* przynależność do socjalizmu!...

Cóż dziwnego, że kiedy pierzchnie czar harmonji i kochanka zdradzi go z innym, machnie on ręką na socjalizm i na rewolucję i.. z niesmakiem wyjedzie do Krakowa?

Sworski poznał się był z Helą przed sześciu laty zagranicą, podczas konferencji pokojowej w Hadze. On, jako urzędnik kolejowy, spędzał tam podówczas wakacje, używając wczasów letnich, ona zaś, panna dorastająca, bawiła przy ojcu, który jako dyplomata pruski, brał udział w konferencji. Ojciec — Wawrzyniec Latzki — jest postacią, która w dziejach Polski miała odegrać fatalną rolę, podczas rewolucji. Wówczas jednak, udając przyjaciela Polaków, pozyskał zaufanie Sworskiego i wywarł nawet wpływ pewien na kształtowanie się jego przekonań. Pchnął, mianowicie, jego sympatję w stronę szczerego demokratyzmu i postępu, uodporniając go, natomiast, przeciw rosnącym suggestjom sfer narodowych i zachowawczych.

„Wasza tak zwana narodowa demokracja — przekonywał Sworskiego — jest niby stronnictwem politycznym, ale nie mającym oczywiście nic do roboty. Jest w istocie czymś podobnym do waszych dawnych konfederacji; skupiona około popularnych haseł, ale mająca tylko na celu swobodne buszowanie po kraju i przewagę nad ludem pracującym. Jest to dalszy ciąg szlacheckiej rzeczypospolitej, bez istotnych zadań, tylko z narowami i pretensjami. Taka zabawa w rząd narodowy dyskredytuje tylko waszą sprawę w Europie. Wszystkie wielkie ruchy nowe: emancypacja pracy, emancypacja myśli — zajmują waszą demokrację bardzo słabo. Macie pomiędzy mieszczaństwem i inteligencją ludzi nowożytnych; macie oprócz nędznego proletarjatu żydowskiego, wielu wybitnych żydów — ale ci nowi ludzie pracują osobno, bo nieszcze-

ra demokracja odpycha ich. Waszym żydom sami zabraniacie zostać polskimi patryjotami".

I tu tkwi tajone żądło jadowitej tendencji p. Weyssenhoffa: żądło dwoiste. Latzki bowiem, wysoki dostojnik rządu berlińskiego, jest żydem z pochodzenia, w którym egoizm rasy zabił wszelkie uczucia ludzkie. „Żelazny kanclerz sprawy żydowskiej", najemnik pruskiego ucisku, Latzki, na domiar, okazuje się w następstwie gadziną zdolną do podłej osobistej zemsty. Autor tedy, przez realizację tej postaci, wygrywa, na oczach bijącej poklask gawiedzi, dwa niezawodne atuty; naprzód, kładzie hasło liberalizmu, demokracji i postępu w usta przeniewiercy i łotra; powtóre, poddając Sworskiego, przyszłego działacza rewolucji, pod działanie tajemnych podszeptów „Ekscelencji" Latzkiego, sprowadza rodowód ruchów wolnościowych do imprezy żydowskiej, wspieranej przez kapitał pruski.

Bo Latzki orężem i pieniędzmi zasila organizacje bojowe, wspomaga strejki, nieci energję oporu. Obok niego, kręci się w ślepym wirze rewolucyjnym Held, spłacany przezeń agitator, również żyd. Jest jeszcze Czeremuchin, sprzedawczyk i prowokator, jest oszalały od wyziewów krwi Tomiłow, wschodni typ pijaka i barbarzyńcy. Jest wreszcie profesor Rajkowski, ze swą partją, równie jak on czynną, ale wszyscy ci ludzie w jakiejś hypnozie bezwolnej wirują dokoła ośrodka przedsięwzięć żydowskich.

Jakże to? Więc w tej fali nagłego wybuchu nie było wcale tętna krwi polskiej? Więc Polacy umieją kochać wolność już tylko za żydowskie pieniądze? Rewolucja nie była-ż dla nas koniecznością rozwoju, wysiłkiem ku szerszemu życiu, ale zasadzką przez wrogów naszych nastawioną? Duch jej zrodził się z obcego podszeptu, nie z naszej krzywdy, nie z własnych naszych bólów?...

Zamiast odpowiedzi p. Weyssenhoff uroczystym, posągowym gestem wskaże nam postać Księcia Piasta, jako hetmana polskiej sprawy.

Lecz kim jest Piast?

Ma on, w pomyśle autora, uosabiać ideję narodową, wysnutą z serca dziejów polskich. Jest tak stary, jak stuletnia walka narodu polskiego o byt. „Mógł być już w szarży pod Somo-Sierrą"... „A może był dopiero pod Belwederem w ową noc listopadową"? To pewna, że „walczył w lasach 1863 roku". Jest on postacią napoły mityczną, napoły rzeczywistą: wyobraża on ducha tradycji powstańczej. W ten sposób pojęty, stać się był winien żywym snem o wolności! Wszak w piersi jego goreć mają hasła, które ongi kazały Polakom krew przelewać na wszystkich polach bitew, gdzie walczono o wolność.

Kiedy z dalekiego wschodu powiała wiosna ludów i olbrzymie masy, z wiekowego snu zbudzone, drgnęły pierwszym porywem życia, oczekiwać by można, że Piast, ów duch — wieczny rewolucjonista, stanie się pochodnią, która miljony serc zapali pożarem tęsknoty i uniesie żądzą walki... Ale nie! Piast chodzi między tłumy i gromi ruch; wyklina go imieniem Mickiewicza, imieniem ojczyzny:

— „Ruch jest nie nasz, — woła, — przez ślepców lub podstępnych wrogów wzniecony!"

Dlaczegóż ruch ten nie stał się naszym? Dlaczego Piast, ograniczając się rolą biernej opozycji, nie rozwinął bojowej chorągwi swego ducha na czele rzeszy walczącej? Dlaczego, miast uderzyć w wielki dzwon historji śród ognia rewolucji, spędza czas na moralizowaniu matołków bawiących w kabarecie, przezieraniu tajemnic romansowych lub kłótni wiecowej z żydami?

I wreszcie ów do spokoju nawołujący Piast, ów majestatyczny książe, pukający oględnie do sumienia Europy, — zostaje na stokach Cytadeli rozstrzelany, rozstrzelany *niewinnie!*

Ależ, w takim razie, rola owego Piasta podczas rewolucji ostatniej jest zaprzeczeniem całej jego dotychczasowej działalności. Z ducha — rewolucjonisty, jakim widzieliśmy go w ubiegłym stuleciu, przeistoczył on się w wyobraźni p. Weyssenhoffa... w zwolennika *polityki realnej*. Odsłaniając tę metamorfozę, pojmiemy dopiero w całej okazałości ideową strategję p. Weyssenhoffa: w postaci Piasta mobilizuje on całą potęgę *minionych* ruchów rewolucyjnych Polski, aby przeciwstawić ją ruchowi *nowemu*, przez nagłe sfałszowanie charakteru postaci. Kreacja „Piasta" w „Hetmanach" jest odwołaniem się do nieśmiertelnych imion Kościuszki i Mickiewicza, aby oureolą ich pamięci przesłonić i wyzłocić współczesną nędzę ludu; jest estetycznym tłumikiem na głos cierpiącej jego duszy. Duszy tej — duszy ludu — wołania i skargi najcichszym jękiem nie ozwą się na ustach „Hetmana", mieniącego się chełpliwie wysłannikiem i spadkobiercą Adamowego Legjonu Ducha!...

Zrodzony z krynicznych zdrojów poezji, z natchnienia wieszczów Romantyzmu, odziany zorzą mesjaniczną, Piast wstępuje w progi powieści, jako bohater, rycerz i męczennik, niosący z głębin duszy narodowej orędzie posłannictwa i wiary w przyszłość. Takim przekazała go nam historja. Lecz jakże bezlitośnie poniżył tę szczytną wizję p. Weyssenhoff, gdy nawiedziła go w progach jego domostwa! Bo wizja ta istnieje i poza nim, i tam istnieje prawdziwie. Na chwilę, w kolosalnych proporcjach duchowych, ukazała się oczom Wyspiańskiego pod imieniem starca Wernyhory w „Weselu", kiedyindziej jaśniała krótko w snach Żeromskiego, dwojąc się między postacią Sułkowskiego a Żółkiewskim.

Trzeba mieć genjusz heroizmu w duszy i miłość za miljony w piersi, aby w kształty materjalne przyoblec to, co wyśniła w ciągu pokoleń miłość ojczyzny i wola bohaterstwa.

P. Weyssenhoff ma niepospolite zdolności w kierunku subtelizowania podziałów arystokracji na nicponiów, pustaków, bigotów, szubrawców, pół-szubrawców i ćwierć-szubrawców. Niechaj uprawia nadal tę wdzięczną niwę, wynajdując coraz nowe szczeble w drabinie upadku moralnego, zwyrodnienia i bezmyślności. Ale niech nie próbuje w kreacje swych postaci wcielać duszy zbiorowej narodu, — bo... w najlepszym razie potrafi wcielić w nie tylko własne zamiłowanie — spokoju i porządku.

Albowiem *„można wzdychać do porządku tak, jak Kochanowski do zdrowia: nikt się nie dowie jako smakujesz, aż się zepsujesz"* (str. 294).

Tako rzecze p. Weyssenhoff po zgnieceniu rewolucji — — —

W. Rzymowski.

Wiktor Gomulicki: **Car Widmo**, powieść z czasów zasiadania Władysława, syna Zygmuntowego, na tronie Rurykowym. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa 1911, str. 306; cena rb. 1 kop. 60.

P. Gomulicki w swych powieściach historycznych dąży do ujęcia epoki ze stanowiska najnowszych badań naukowych; stara się przytym malować obraz naszej przeszłości od strony tych czynników, które spowodowały rozkład i upadek Rzeczypospolitej szlacheckiej: boli go upośledzenie miast i niewola chłopstwa; boli go niedołęstwo władzy królewskiej, ciemny upór szlachty, rozpętana ambicja królewiąt. Serce i sympatja autora kierują się tam, gdzie zagłuszony wrzawą sejmików i sponiewierany butą oligarchów, ukrył się w opuszczeniu tragicznym—*interes państwowy*, dobro powszechne narodu.

Gdy Sienkiewicz np. w swej epopei historycznej skalą rozumienia i skalą miłowania nie przerasta poziomu wskrzeszonej przez się epoki, śmiejąc się razem z Zagłobą, rznąc chłopów z Jeremim i modląc się razem z Kordeckim: Gomulicki, przeciwnie, nie pozwala oszołomić się brawurze temperamentów, ani oparom krwi, ani szałowi rozpasania. Po nad malowniczość efektów zewnętrznych stawia wymagania polityki rozumnej i przewidującej; ponad „rozkosz oczu rycerskich" stawia prawa rozwoju dziejowego. Nie wysnuwa on, jak Sienkiewicz, historjozofji swej z tętentu grzmiących kopyt hussarji, łopotania przeporców lub migotania skier słonecznych na złotych blachach pancerzy, ale pilnie wmyśla się i wczuwa w życie społeczne, zagląda do chat wiejskich w XVII i XVIII stuleciach, rozpoznaje zaułki staromiejskie, w starciu żywiołów wewnętrznych szukając przebiegu i rozwiązania dramatu historycznego. Ponad głowami malowanych przezeń bohaterów, unosi się zawsze czujnie jego myśl badawcza i krytyczna. Ta myśl, niewątpliwie przysłania ich urok bezpośredniości, ale zato uwypukla ich wartość intelektualną.

J. T.

NA DOBIE.

Coś nowego.

Polityka polska w Poznańskiem dotychczas na dwuch toczyła się kołach: zachowawczym i klerykalnym. Szkołą politycznego myślenia była plebanja, gdzie na pierwszym figuruje miejscu znana biblijna formuła: oddajcie Bogu, co boskiego i Cezarowi, co cesarskie.

Jeszcze niedawno miał to orzeczenie na ustach nieboszczyk ks. Jażdżewski, prezes Koła, podczas rozpraw nad listą cywilną Wilhelma II-go...

Ten ostatni, Cezar i Bóg w jednej osobie, łacno mógł wykorzystać na swą korzyść owo biblijne usposobienie myśli polskiej, rzucając przed sobą na kolana całe pobożne społeczeństwo dzielnic wschodnich, a zwłaszcza germanizując je przez Kościół w tempie bardzo szybkim, do czego się i sojusz z centrum przyczynia — aliści w sam czas nastąpił objaw dodatni. W gronie posłów polskich znalazł się człowiek nowy; ten człowiek przemówił — i usłyszano coś niezwykłego, coś, co znamionuje, być może, zwrot pożądany ku polityce godności narodowej i skutecznej walki z giermanizacją, choćby się ona podstępnie pod sutanną księżą ukryła.

Zapowiedzią takiego zwrotu jest mowa posła Wojciecha Trąmpczyńskiego, wygłoszona w sejmie pruskim d. 14 b. m.

Poseł Trąmpczyński, zamiast płaczliwego patosu, którym zwykli operować wszyscy jego koledzy, natchnieni świętym duchem, wystąpił śmiało, energicznie i po męsku, rzucając palące i cierpkie słowa prawdy w twarz Prusakom, nie mało zdumionym tą niezwykłą w ustach Polaka zmianą tonu.

Nie była to już ani bełkotliwa skarga dziecka, ani układne perswazje nieprzejednanej (tak!) ugody — lecz donośny i męski protest, akt oskarżenia, rzucony wręcz przedstawicielom władzy. Zachowawcza nasza opinja zdumiała się niemniej od posłów niemieckich. Jeden z organów tej opinji daje swemu zdumieniu następujący wyraz:

„I, o dziwo, izba, ta sama izba, w której hakata ma przygniatającą większość, której członkowie, gdy Polak zaczyna przemawiać, po większej części ostentacyjnie, okazując swoje lekceważenie dla tych nudnych, odwiecznych skarg, opuszczają salę posiedzeń, ta izba — słuchała.

I rzadko w takich wypadkach sam dający replikę, minister odpowiedział; przyznał nawet, że szykany zdarzają się".

Oby to *dziwo*, które wydarzyło się w Izbie Pruskiej d. 14 b. m. — wypłoszyło z tamtąd działaczy wielkopolskich, zakrzepłych w rutynie lojalnych i ostrożnych skomleń, zamiast rzetelnej opozycji...

Przez lat dziesiątki była tam polskość reprezentowana w sposób równie dla nas niezaszczytny, jak dla rządu pruskiego niekłopotliwy. Haniebna ugoda rydzyńska godnie wieńczy ten okres płonnych zabiegów i niedocenionych aktów lojalizmu.

Oby zmieniło się to na lepsze! p. L. Romocki w *Kurjerze Warszawskim* szkicując sylwetkę posła Trąmpczyńskiego, opatrzył ją komentarzem, niepozbawionym swoistej, cierpkiej wymowy:

„Wysyłając adwokata Wojciecha Trąmpczyńskiego w misji reprezentanta narodu do Berlina, wynagrodzono mu tylko, chociaż późno, bo dawno to już uczynić należało, wielką krzywdę, którą społeczeństwo poznańskie robiło jemu — i sobie, trzymając Polaka gorącego serca, rwącego się do każdej pracy obywatelskiej, człowieka uznanych ogólnie, najwybitniejszych zdolności, dotychczas w półcieniu. Trąpczyński nie należał do żadnej „kliki", ani do konserwatywno-klerykalnej, ani do „narodowo-demokratycznej", a więc, wobec domagania się już od lat wielu społeczeństwa, żeby te zasługi odpowiednio spożytkować, uspakajano opinję, przyznając mu krzesło w radzie miejskiej i stawiając go jako kandydata poselskiego tylko w takich okręgach wyborczych, w których, co wiadomo było z góry, Polak zwyciężyć nie może".

Podczas gdy autora *Mojej Baby* potężne koterje dźwigają na szczyty znaczenia i wpływu, jednocześnie ów „Polak gorącego serca, człowiek najwybitniejszych zdolności" — trzymany był *usilnie* w *półcieniu*, ponieważ nie należał do żadnej zachowawczo-klerykalno-nacjonalistycznej kliki... Jakie to smutne— i jakie swojskie! Bądź co bądź—mgły, zgęszczone nad bagienkiem poznańskiej Beocji, poczynają powoli rozwiewać się i rzednąć.

Pokora i pycha.

Kiedy przyzwoita część opinji tłómaczy klerowi rzymskiemu, że o ile nie chce stanąć w poprzek duchowi naszych czasów, musi konieczne poczynić ustępstwa kulturze świeckiej i prawom cywilnym — odpowiedzią jest klątwa, pogróżki, potwarz i donos. Ludzi, którzy takie śmią mu stawiać żądania, piętnuje Kościół, jako krwi chciwych przewrotowców, a instytucje, które mu nie są bezwzględnie powolne, obarcza tysiącznym rodzajem szykan i zajadłą, a mściwą nienawiścią; mieliśmy tego aż nazbyt liczne dowody.

Gdy jednak, z punktu widzenia czysto państwowych interesów, departament wyznań obcych odpowie na jaki dekret papieski własną encykliką w urzędowym kancelaryjnym stylu — o! wówczas potulnie i nizko chylą się butni dostojnicy Kościoła z przyjemnym na ustach uśmiechem — a J. E. ks. arcybiskup metropolita mohylowski rozsyła do podwładnego sobie duchowieństwa okólnik treści następującej:

„W uzupełnieniu do wysłanego przeze mnie pod datą d. 4-go grudnia (st. st.) 1910-go r. za Nr 7889 okólnika rządowego o dekrecie „*Ne temere*" uprzedzam duchowieństwo, że rząd nie znosi papieskiego dekretu, lecz tylko wymaga, ażeby duchowieństwo nie zachowywało się demonstracyjnie i wrogo względem małżeństw, zawieranych w świątyniach innych wyznań. Tu się ma na względzie nietylko szacunek dla obcych wyznań, ich przepisów i obrzędów, lecz również szacunek dla kodeksu cywilnego, który wszystkim wyznaniom daje pewne prawa i prerogatywy obywatelskie ze strony państwa. To się stosuje naogół do wszystkich małżeństw, a w szczególności do mieszanych.

Chociaż według ducha dekretu „*Ne temere*" pewne małżeństwa nie są u nas uważane za kanoniczne, jednakże według ustaw cywilnych, jako zawarte w granicach prawa, są uważane za prawne.

„Polecam zależnemu odemnie duchowieństwu, aby zachowywało się ostrożnie i rosądnie wobec tej sprawy drażliwej, ażeby nie sprowadzić wielce smutnych dla nas następstw."

Na widok tak cudownej przemiany — bo przejście od wygórowanej pychy do iście ewangelicznej pokory zakrawa na istotny cud — niejeden z głębi duszy westchnie i zawoła: czemu, ach czemu kler katolicki, tak pojednawczy, przystępny i pojętny w obliczu rządowych cyrkularzy, staje się twardym, szorstkim i głuchym jak pień na perswazje instytucji polskich, żądających odeń szacunku dla kultury narodowej i uwzględnienia postulatów nauki!...

Jakżeby to było pięknie, gdyby tak który eminencja, np. biskup Zdzitowiecki—zupełnie dobrowolnie wziął pióro do ręki i napisał taką encyklikę:

„Uprzedzam podwładne sobie duchowieństwo, że naród polski nie żywi wrogich uczuć do papieża, lecz tylko wymaga, żeby kler nie zachowywał się demonstracyjnie i wrogo względem potrzeb kultury polskiej, wykraczającej za wyznaniowe normy.

Tu się ma na względzie nietylko szacunek dla instytucji narodowych, ich zasad i statutów, lecz również szacunek dla cywilizacji świeckiej, która wszystkim instytucjom daje prawo obywatelstwa bez względu na ich religijną prawomyślność.

To się stosuje naogół do wszystkich instytucji, a w szczególności do szkół prywatnych polskich. Chociaż według ducha encykliki *Pascendi* pewne metody myślenia i nauczania nie są u nas uważane za właściwe, jednakże zgodnie z duchem tolerancji i wolności nowoczesnej nie można ich z tego powodu potępiać, ani tym mniej prześladować.

„Polecam zależnemu odemnie duchowieństwu, aby zachowywało się taktownie i rozsądnie wobec tej sprawy drażliwej, ażeby nie czynić szkody interesom narodowym polskim i rozwojowi kultury i oświaty tego kraju.."

Niestety! Jak to brzmi nieprawdopodobnie!

Powróćmy do rzeczywistości.

Wiekowa stwierdza eksperjencja, że Kościół pozbywa się nieprzejednanej swej pychy tylko pod przymusem fizycznym i tylko w obawie „smutnych następstw" zaleca swoim funkcjonarjuszom takt i rozsądek.

To też zupełnie powinno być zrozumiałym, że chyląc się nisko przed lada ministerjalnym woźnym opatrzonym w urzędowe pieczęcie, kler katolicki stosuje nieprzejednany rygor czujnej srogości względem prywatnych szkół polskich, posądzonych o hołdowanie zasadzie niezależności wiedzy od religji.

Nie licząc wiadomego zajścia ze szkołą ludową w Kruszynku, a potym ze szkołą warszawską Tow. Kultury Polskiej, jaskrawym przykładem tej metody jest groźba ks. prefekta z jednej z prowincjonalnych szkół polskich, który to świętobliwy mąż zagroził dymisją, jeśli nadal w bibljotece szkolnej znajdować się będzie *Prawda.*

We Francji byłby ks. prefekt poruszał niebo i ziemię o to, że masoński rząd nie chce go do szkół dopuścić; w tym kraju, gdzie na mocy ustaw rosyjskich, szkoła *musi* być uświęcona obecnością osoby duchownej — ks. prefekci każą się prosić i stawią wygórowane bardzo żądania wzamian za głoszenie prawd bożych...

W tym przewrotnym i podstępnym stosowaniu miary podwójnej tkwi płaski i przyziemny, odstręczający i zimny duch współczesnej biurokracji kościelnej.

Jagnięca niewinność.

Nasza kampanja o niezależną wiedzę w Krakowie nie w smak poszła sferom klerykalnym; wobec pewnych z naszej strony twierdzeń, mnożą się tam oznaki dobrze udanego zdziwienia. W odpowiedzi na art. *Duch Kopernika czy Puzyny?* zaręcza *Przegląd Katolicki*, że „uniwersytet Jagielloński nietylko nie był nigdy jezuickim, ale zawsze między nim a Towarzystwem Jezusowym panowała rywalizacja (*sic!*), że nie powiemy — antagonizm". Następnie organ ks Gnatowskiego wpada w największe zdumienie:

„...co za sens ma łączenie przez *Prawdę* (w tymże artykule) kardynała Puzyny z Jezuitami, gdy książę biskup krakowski nietylko nie jest Jezuitą, lecz — jak wiemy — w żadnym z nimi nie jest kontakcie? I co mają do sprawy zaburzeń krakowskich Jezuici? Przecież i ks. dr. Zimmermann nie jest Jezuitą...

Albo na jakiej podstawie *Prawda* ciągnie na stronę wrogów Kościoła Kopernika, gdy ten był wierzącym katolikiem i kapłanem?..."

Dziennik zaś *Powszechny*, cytując powyższe pytanie, wyraża pewność, że nas ono nie „wzruszy", bowiem *Prawda* ma ustalony pogląd na rzeczy.

Bezsprzecznie, pogląd nasz jest ustalony, ale *zawsze* gotowi jesteśmy przyznać słuszność wrogowi, jeśli ją ma po swojej stronie. Trudno jednak, by nas *Przegląd Katolicki* „wzruszył" swoim zdumieniem, skoro w jednym z ostatnich NN tego czasopisma czytać było można ciekawy artykuł *O Sodalicji Marjańskiej* w murach krakowskiej *Almae Matris*, a między innymi i takie zdanie:

„Pod kierownictwem kapłana, znanego w całym kraju, autora wielu poważnych dzieł, profesora uniwersytetu, ś. p. O. Marjana Morawskiego T. J., powstała akademicka Sodalicja Marjańska. Odpowiedzialny urząd Moderatora Sodalicji sprawował ś. p. O. Morawski do r. 1895, kiedy to stanowisko objął O.Stefan Bratkowski T. J., zajmujący je po dziś dzień".

Zatym czarno na białym stwierdzone, że OO. Jezuici stworzyli tę potężną organizację klerykalną w Uniwersytecie Krakowskim i dotąd ją prowadzą, co nie przeszkadza prasie zachowawczej sarkać na „udział" w życiu studenckim osób, „poza wszechnicą stojących" o ile te osoby, rzecz prosta, wyznają zasady postępowe..

Sodalicja Marjańska nie ma bynajmniej na oku celów naukowych; jest to poprostu filja studencka międzynarodówki klerykalnej, specjalnie przeznaczona do urabiania w stosownym kierunku młodych sił oraz do obrony interesów kleru; przyznaje to *Przegląd Katolicki* powiadając:

„gdzie chodziło o odparcie napaści na religję i Kościół, tam Sodalicja stawała zwartym szeregiem, nie dozwalając swym członkom pod żadnym warunkiem na absencję".

Krótko i wyraźnie. Nie jest też dla nikogo tajemnicą, że wiele osób wpływowych w Małopolsce albo wprost należy do Sodalicji, albo jest w stałym z nią kontakcie za pośrednictwem OO. Jezuitów. I może sobie kard. Puzyna nie być Jezuitą, może sobie ks. Zimmermann z Tow. Jezusowym „rywalizować" — faktem jest, że na Wszechnicy rej wodzą dzieci Lojoli — podobnie zresztą, jak rej wodzą na Watykanie, chociaż ani Pius X, ani kard. Merry del Val nie są Jezuitami, a niektórzy z dostojników Kurji—zwłaszcza OO. Dominikanie — rywalizują z nimi otwarcie i... bezskutecznie.

„Na jakiej podstawie — pyta jeszcze *Przegląd*— *Prawda* ciągnie na stronę wrogów Kościoła Kopernika, gdy ten był wierzącym katolikiem i kapłanem?"

Na tej podstawie, że system kopernikański zadał cios śmiertelny całej kosmogonji kościelnej, że dzieło *De revolutionisus orbium coelestium* znajduje się na Indeksie, a kiedy miano stawiać w Warszawie pomnik gienjalnemu naszemu rodakowi — spotkano się z zaciętym oporem warszawskich kół katolickich.

Dziesięciolecie „Poradnika językowego".

Jeżeli „Słownik języka polskiego", wychodzący od szeregu lat w Warszawie, można nazwać żywym kodeksem polszczyzny, to „Poradnik językowy" ma prawo przypisać sobie znaczenie systematycznego komentarza, rolę autentycznej interpretacji tego kodeksu. Powołany do życia inicjatywą i wysiłkiem twórczym jednego człowieka, p. Romana Zawilińskiego, w którego duszy najsilniej uświadomiła się potrzeba stałej, pilnej obrony czystości języka przed zalewem fal obcych, „Poradnik językowy" odrazu wysunął się na czoło jednej z najbardziej zagrożonych placówek naszej odrębności. Odkąd zaś całokształt naszego bytu zbiorowego, na chwilę krtóką wyzwolony, z powrotem wciśnięty został w karby obostrzonych przepisów, odkąd praca kulturalna, oświata, nauka literatura stała się znów głównym ogniskiem, niemal jedynym naszej energji społecznej, znaczenie „Poradnika Językowego" jako organu czuwającego nad nieskazitelnością mowy polskiej, wzrość winno w dwójnasób.

Mowa ojczysta staje się dla nas dzisiaj jedną z najpotężniejszych wieżyc obronnych samodzielności i odrębności polskiego bytu. W niej przechowywamy skarby swego ducha, do niej przelewamy nasze zdobycze kultury. Literatura nasza jest na dzisiaj jedyną formą uczestniczenia w cywilizacyjnym ruchu Europy. Polityka nasza sięga niedaleko, kapitałem nikomu nie imponujemy, przepychem swej przeszłości możemy, co najwyżej, własne rany rozkrwawiać. A więc potęgujmy przynajmniej naszą myśl, pomnażajmy tymczasem zasoby wiedzy, urastajmy siłą charakteru, i brońmy, przedewszystkim, brońmy języka!

Zebranie dyskusyjne P. Z. P.

Na ostatnim wtorkowym zebraniu dyskusyjnym P. Z P. ukończono pod przewodnictwem p. Tadeusza Balickiego obrady nad kwestją udziału żydów w samorządzie.

P. Wacław Łypacewicz we wstępnem przemówieniu streścił główne myśli swego referatu, wygłonego na poprzednim zebraniu dyskusyjnym.

Przeciwstawianie „interesu narodowego" zasadom „oderwanym" jest oparte na nieporozumieniu. Pojęcie „interesu narodowego" jest bowiem również pojęciem „oderwanym" jak zasada równości obywatelskiej. Z drugiej znów strony zasady nowoczesnej demokracji, owe znienawidzone przez nacjonalistów „principia liberalne" bynajmniej nie są czymś oderwanym od życia, lecz wyrażają jego najgłębsze potrzeby. Dlatego też lekceważenie tych zasad, prowadzenie polityki od wypadku do wypadku, mając za busolę jedynie „interes narodowy" pojmowany nader ciasno i po doktrynersku, jest rzeczą wysoce dla społeczeństwa szkodliwą. Polityka taka odwodzi naród od celów obliczonych na dłuższą metę, demoralizuje politycznie masy, deprawuje polityków i sprowadza ich na drogę, na której często ich interes osobisty i karjera polityczna z powodzeniem grają rolę interesu narodowego. Nie należy nigdy lekceważyć dążeń do urzeczywistnienia zasad etycznych w polityce. Współczesna rzeczywistość polityczna przekonywa, że stosowanie starej maksymy „justitia fundamentum regnorum", jest korzystnym nietylko dla żydów (Dmowski) dla Polaków (Mienszykow), lecz i dla narodów panujących.

Zwłaszcza zasada *równouprawnienia obywatelskiego* bez względu na pochodzenie i wyznanie. jest to zasada, która żywiołowo urzeczywistni się w Europie współczesnej i zmiecie wszystko z drogi co jej się przeciwstawia. Odmawianie żydom praw obywatelskich nie może być uzasadnione z punktu widzenia zasad nowoczesnej państwowości, ani teoretycznie, ani praktycznie. To też żydzi otrzymali równouprawnienie obywatelskie wśród wszystkich niemal narodów kulturalnych.

Wszelkie zaś dążenia do ograniczenia udziału żydów w samorządzie w społeczeństwie polskim, są z wielu względów historycznym anachronizmem. Żydzi w jednej z dzielnic polskich, w Galicji, cieszą się już zupełnym równouprawnieniem pod tym względem, w Królestwie korzystają ze wszystkich praw cywilnych i są z nami równouprawnieni politycznie. Ograniczenia żydów przeczą wreszcie do tego stopnia nietylko naszym pięknym tradycjom ostatniego stulecia, ale i naszemu współczesnemu poczuciu prawnemu, że oprócz klerykalnych świstków i liczącego zaledwie półtrzecia tysiąca abonentów organu naczelnego narodowej demokracyi, cała prasa jednomyślnie niemal oświadczyła się przeciw ograniczeniom praw ludności żydowskiej w samorządzie. Dążenie do ograniczenia praw ludności żydowskiej jest sprzeczne z najgłębszym naszym interesom narodowym. Uświęca ono zasadę praw wyjątkowych, kurji uprzywilejowanych, zmniejsza sympatyę względem nas naszych naturalnych sprzymierzeńców, i osłabia naszą pozycyę w walce o zniesienie ograniczeń dla Polaków. Co więcej, przykułoby nas do rydwanu reakcyi w państwie, czyniąc z nas naturalnych sojuszników systemu, od którego niczego się spodziewać nie możemy i osłabiłoby szanse otrzymania autonomii nawet przy zmianie systemu rządów w państwie, wytwarzając silny prąd centralistyczny wśród ludności niepolskiej w Królestwie.

Nawet gdyby żydzi byli odrębnym narodem, — a jest to co najmniej wątpliwym i spornym — rozum polityczny nakazywałby nam stanąć na gruncie równouprawnienia, by dać podstawy do asymilacji politycznej, której się nie wyrzekają nawet nacjonalistyczne grupy żydowskie. Sztuczne uprzywilejowanie ludności rdzennej polskiej po miastach dałoby jej tylko pozory przewagi, lecz nie rzeczywistą siłę. Chwilowe szkody, jakie mogłyby wyniknąć z opanowania wielu mniejszych miast naszych przez grupy nacjonalistyczne żydowskie, dałyby się powetować przez przyśpieszoną polonizacyę miast Królestwa, która zresztą obecnie jest procesem naturalnym. Statystyka wykazała, że liczba żydów w miastach Królestwa spadła w ostatnich kilkunastu latach przeszło o 2% i wynosi obecnie nieco więcej niż 40,2%. Nadto blisko 700,000 czyli 2/5 ludności żydowskiej mieszka po wsiach i osadach, które nie będą korzystać z samorządu miejskiego.

W tych warunkach dążenie do ograniczenia praw ludności żydowskiej, leży nie w interesie narodowym, lecz raczej w interesie partyjnym narodowej demokracji, powiększa bowiem szanse opanowania przez to stronnictwo zarządów miejskich.

Naród polski w głęboko pojętym interesie własnym, powinien dążyć nie do ograniczenia ludności żydowskiej, lecz do jej równouprawnienia w całym państwie, do zniesienia granicy osiadłości, demokratyzacji prawa wyborczego i wprowadzenia samorządu ziemskiego, jako naturalnego uzupełnienia samorządu miejskiego.

P. *J. Wasercug* zwraca uwagę, że sam fakt, że zasada równouprawnienia może być przedmiotem dyskusji, wbrew najpiękniejszym tradycjom polskim — świadczy o okresie głębokiej reakcji. Fala wolnościowa zbliżała żydów do społeczeństwa polskiego, a reakcja odpychała. Równouprawnienie żydów w samorządzie może dać w mniejszych miastach przewagę żydom konserwatywnym, lecz będzie to objawem przemijającym. W interesie polskim leży zniesienie granicy osiadłości, żeby nie stwarzać dla przybyszów ze wschodu przywilejów u nas. Przedstawicielstwo polskie w Petersburgu z powodu narodowo-demokratycznej ideowej większości swych

członków nie jest w stanie dostatecznie mocno i z przekonaniem wystąpić w sprawie zniesienia granicy osiadłości.

P. *Turski* wyjaśnia, że do polszczenia miast naszych przyczyni się w znacznej mierze przyłączenie przedmieść, które są przeważnie rdzennie polskie.

P. *Zubowicz* wykazuje, że w Galicji równouprawnienie żydów nie przyniosło szkody krajowi.

W dalszej dyskusji zabierali głos pp. Balicki, Łypacewicz i inni.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Utarte mniemanie, że postęp społeczny zawsze jest dla żydów pożądany, nie sprawdza się bynajmniej na ziemiach polskich, gdzie rosnący w ostatnich czasach zmysł samopomocy wśród mas ludowych powoduje straszny kryzys nędzy żydowskiej. Na ten ważny objaw zwracaliśmy uwagę w notatkach o „antygoizmie wstecznym"; ostatnio, z powodu znanej ankiety galicyjskiego wydziału krajowego, *Dziennik polski* wychodzący we Lwowie takie czyni uwagi:

> Głosy prasy polskiej i żydowskiej zgodnie stwierdzają, że wszystkie reformy ekonomiczne, dokonywane w ostatnich czasach w Galicji, pogrążają ogół ludności żydowskiej w coraz większą nędzę. Przyznał to i organ lwowskich asymilatorów „Jedność", który zapatrzył się na przyszłość bardzo pesymistycznie. Twierdzi, że idą czasy dla ludności żydowskiej coraz gorsze, bo kraj, wszedłszy na drogę reform społecznych i ekonomicznych, idzie na polu tych reform z każdym rokiem naprzód, wzrost samowiedzy i samopomocy godzi wprost w istnienie pewnej części ludności żydowskiej.
>
> Nie postęp gospodarczy Galicji jest antysemickim, lecz rola ekonomiczna żydów zacofanych i jako taka ulegać musi przemożnej sile prądu normalnej, ekonomicznej ewolucji. Dobrobyt kraju znajduje się w odwrotnym stosunku do pomyślności materjalnej żydów, jako klasy ekonomicznej. Osławiona „Nędza Galicji" stwarzała dla nich przyjazne warunki bytu, walka z tą nędzą podrywa ich istnienie.
>
> Masy żydowskie w swej olbrzymiej większości nie stanowią proletarjatu we właściwym znaczeniu i nie są klasą wytwórczą. Są to faktorzy, lichwiarze, przekupnie, sklepikarze, szynkarze, drobni pośrednicy i na maleńką skalę przedsiębiorcy, obracający nieraz maleńkim, kilkuguldenowym kapitałem, a stąd zmuszeni ciągnąć zyski nieproporcjonalnie wysokie, ażeby zarobić na najnędzniejszą egzystencję. Są to więc zarazem i głodomory i wyzyskiwacze, postawieni w tym stosunku do ogółu ludności, że najnędzniejsze ich utrzymanie jest jednak dla niej ciężarem gnębiącym i do zniesienia trudnym.
>
> Istnienie tej klasy ludzi jest konieczne i nawet może niezbędne. w takich na wpół barbarzyńskich stosunkach, jakie spotykamy w wielu zapadłych kątach. Lepszy jest drogi kredyt, niż żaden, lepszy jest kosztowny i niepraktyczny cech handlarzy, niż brak wszelkiego handlu. Gdzie klasy wytwórcze są przeważnie złożone z analfabetów, gdzie komunikacje są trudne, a organizacja kredytu nie istnieje, tam żyd faktor, przekupień, a nawet lichwiarz jest dobrodziejem dla mieszkańców. Nietylko lichwa stwarza nędzę, lecz nędza stwarza lichwę — i żadne ograniczenia prawne na to nie pomogą.
>
> Nie mówiąc już o organizacjach gospodarczych, jak kooperatywy, kółka rolnicze, kasy pożyczkowo-oszczędnościowe i t. p., sama oświata w połączeniu z porządną administracją i rozwojem komunikacji podcina istnienie nadmiaru pośredników w handlu.
>
> Punkt wyjścia dla żydów jest jeden: Ponieważ niema najmniejszych widoków, aby naturalny prąd ekonomicznej ewolucji zwrócił się wstecz przez wzgląd na żydów, jest konieczne, aby masy żydowskie zrozumiały całą grozę swego położenia i zawczasu zerwały z tymi tradycjami obyczajowymi, które z nich uczyniły odrębną klasę ekonomiczną.
>
> Żadną miarą nie może trwać przez dłuższy przeciąg czasu taki stan rzeczy, w którym cały niemal handel i kredyt jest w żydowskich rękach, a cała bez mała ludność żydowska zatrudnia się handlem.
>
> Walka z kooperatywami może na razie, póki ludność chrześcijańska jest naogół ciemna i niezaradna, dać tu i ówdzie żydom drobne zwycięstwa, lecz ostateczny jej wynik musi być dla nich zgubny. Proces usunięcia nędzy niewątpliwie u nas potoczyłby się normalnym biegiem z chwilą, gdyby ustał hamujący go napływ żydów z Rosji. Warunki polityczne krzyżują rozwój kulturalny, ale nie mogą go unicestwić.
>
> Postęp ekonomiczny z natury rzeczy przybiera kierunek antisemicki, gdy ogół ludności żydowskiej jest żywiołem ekonomicznie wstecznym. Ponieważ zaś natury postępu zmienić nie można, przeto dla uniknięcia tragicznego konfliktu zmienić się musi ekonomiczna rola żydów.

* Lwowski tygodnik *Życie* otrzymał ze „sfer uniwersyteckich" szereg wyjaśnień, z których przytaczamy poniższy wyimek:

> Zaszedł fakt w dziejach polskich wszechnic bodaj że pierwszy, gdy senat złożony z profesorów polskich użył przeciwko polskiej młodzieży austryjackich żołnierzy i austryjackiej policji.
>
> Żadne z pism, które opisywały obecne zajścia w Krakowie, nie podkreśliło dostatecznie tego faktu a bodaj czy nie jest on najważniejszym momentem w całej tej sprawie.
>
> Młodzież wszechpolska i sodalicja w liczbie 238, jedyne przeciwniczki strejku we Lwowie, w rezolucji, wydanej w dniu 19/1 na swoim konwentyklu w Domu Akademickim, bronionym przez policję, zarówno jak i przewodniczący Czytelni Akademickiej w rozmowie z korespondentem „Gazety wieczornej" główny nacisk kładli na to, że młodzież postępowa w walce z polskimi władzami uniwersyteckimi zwraca się o poparcie moralne do niemieckich i czeskich studentów.
>
> Po czyjej stronie leży większa wina i jak tłumaczyć sobie należy obydwa fakty?

W dalszym ciągu, analizując przebieg wypadków na wszechnicy krakowskiej, *Życie* potępia bardzo ostro taktykę senatu:

> Nie młodzież zawiniła w całej tej akcji, gdyż działała ona w dobrej wierze i broniła najświętszych praw czystości nauki, lecz ci, którzy, jak się okazało, niegodni są być jej kierownikami.
>
> Dwie są możliwości, które tłómaczą nam stanowisko reakcyjnej większości senatu krakowskiego; albo jest ona złożona z ludzi starych, nie rozumiejących, lub partyjników, nie chcących zrozumieć nowego życia i nowych prądów, albo są to karjerowicze, biurokraci żądni swej władzy i potrafią wprowadzić porządek na wszechnicy oddanej ich pieczy tylko za pomocą szabel i to w dodatku obcych żołnierzy.
>
> A teraz, gdy senat ten stracił całkowicie powagę wśród młodzieży i obcymi szablami odgrodził się od niej, całe społeczeństwo polskie powinno się w sprawie tej wypowiedzieć. Na szczęście społeczeństwo nasze ma uczciwszą drogę, drogę parlamentarną i tam wobec przedstawicieli całego państwa powinno ono głos zabrać!

* Ze swej strony *Goniec* warszawski, niepodejrzany chyba o radykalizm społeczny, broni bardzo energicznie naszą młodzież wolnomyślną przed oszczerczemi atakami domorosłych torkwemadów z Galicji. W jednym z ostatnich Nr. Nr. tego pisma czytamy:

> Do jakiego stopnia zacietrzewienia dochodzi kołtuństwo krakowskie, gdy mowa o młodzieży uniwersyteckiej z Królestwa Polskiego, świadczy poniższy urywek z jednego z dzienników klerykalnych krakowskich. (Artykuł mówi o obecnym procesie lwowskim):

„Nikt nam w Galicji nie zarzuci, byśmy otwartym sercem i otwartą, choć nie najbogatszą, kieszenią nie przyjmowali naszych nieszczęśliwych braci zza kordonu rosyjskiego. A jednak stanowczo, choć i z boleścią stwierdzić należy, że napływająca do nas z Królestwa młodzież, niesie ze sobą niebezpieczne dla spokoju publicznego fermenty i miazmaty, wytworzone i wylęgłe w dusznej i nienormalnej atmosferze. Ktokolwiek też wejrzał w rodzaj wpływu, jaki wywiera młodzież z Królestwa na życie młodzieży naszej, musiał uznać, że Królewiacy — obok niezwykle silnego uczucia patryjotycznego — niosą też ze sobą wpływy wysoce niezdrowe i szkodliwe. W każdej drażliwej sytuacji zaznacza się to ze strony Królewiaków zaostrzaniem jej i często prowadzeniem do absurdum.

To samo widzimy wśród młodzieży ruskiej. Do najgwałtowniejszych występków prowadzą ją Rusini zza kordonu, jako osławiony Pawło Kratt w r. 1907, a obecnie prawosławny nawet Nykoła Zaliźniak".

Porównywać młodzież uniwersytecką krakowską z opryszkami, którzy darli portrety rektorów, rąbali toporami drzwi i strzelali po gmachu uniwersyteckim, a potym zręcznie zmykali po rynnach przed policją — jest rzeczą niezwykłą i w naszych stosunkach publicystycznych bodaj niespotykaną.

* Niejeden z organów naszej prasy prowincjonalnej powagą sądu i poziomem kultury zawstydza konserwatyczne stołeczne pisma, roszczące sobie pretensje do miana polskich *Times'ów*, gdy w rzeczywistości reprezentują parafiański bardzo duch miejscowego kołtuństwa. Ujawniło się to w sposób dosadny podczas rozruchów studenckich w Galicji. Gdy „poważne" pisma stołeczne łączą się z chórem księżych gospodyń, jednocześnie *Tygodnik Suwalski* (art. *O Wszechnicę Jagiellońską*, Nr. 7) ubolewając nad formą wystąpień młodzieży, takie czyni uwagi:

Odpowiedzialność jednak tutaj ponosić winna najmniej może młodzież właśnie, której — jeśli rozpatrywać będziemy wypadki ze stanowiska jedynie dobra i naukowej powagi naszej prastarej wszechnicy — słuszność w dużej mierze przyznać należy. Winę tu ponoszą czynniki poza uniwersytetem stojące, winne przedewszystkim kolegjum profesorskie i senat, który do wykładów na uniwersytecie jednostkę bez żadnych kwalifikacji naukowych dopuścił, a oddaniem sprawy protestującej młodzieży sposobem, zapożyczonym ze „wschodu", w ręce prokuratorji pierwszy pogwałcił autonomję uniwersytecką, młodzież zaś sprowokował, namiętności zamiast uśmierzać — rozpalił i podsycił.

Obrońcy ks. Zimmermanna zwykli się powoływać na formalną autonomię wydziałów, z których każdy może werbować odpowiednich dla siebie profesorów. Na to odpowiada p. Staniszewski, autor cyt. artykułu, w sposób następujący:

Tym, którzy w obronie ks. Ziemermanna z tego założenia wychodzą i zrzucają z siebie odpowiedzialność za obniżenie powagi naukowej naszej Wszechnicy oraz zaszłe wypadki, racji przyznać niestety nie można. Formalnie mają słuszność, lecz tylko formalnie. Nie suchy bowiem biurokratyczny formalizm stanowi istotę życia naukowego uniwersytetu: — rdzeniem tego życia jest *powaga naukowej opinji* ciała profesorskiego, przed którą kapitulować musi prawo formalne. Miał prawo ks. Zimmermann stanąć na katedrze przed ogółem słuchaczów, nietylko teologów, ale całe kolegjum profesorskie w imię dobra i powagi naukowej uniwersytetu miało obowiązek wywrzeć presję moralną, aby do wykładów takich nie dopuścić, ograniczyć je przynajmniej do wydziału teologicznego wyłącznie.

I wątpimy bardzo, czy ks. Zimmermann nie cofnąłby się przed taką zwartą opinją ogółu profesorów.

* Zatarg pomiędzy Rosją i Chinami zaskoczył opinję świata dość niespodziewanie, to też pisma pełne są sprzecznych na ten temat sądów. Nie są też jednomyślne i organy prasy warszawskiej. *Gazeta Warszawska* opatruje notę rosyjską takim komentarzem:

Rosja, jak sądzić można, przygotowywała się od pewnego czasu do wznowienia polityki czynnej w Azji. Dyslokacja wojsk w Europie i wycofanie części armji z Persj w ostatnich czasach umożliwiają w razie potrzeby energiczną akcję w Azji. Po krótkim, nie uwieńczonym powodzeniem intermezzo na terenie europejskim, Rosja powraca znowu do Azji. Oczywiście, ta zmiana wywołać musiała wielkie niezadowolenie w Anglji i Francji, gdy prasa niemiecka ze źle tajoną radością stara się udawać obojętną wobec zatargu rosyjsko-chińskiego. Pisma francuskie zgodnie utrzymują, że jest to rezultat zjazdu w Poczdamie, a „Temps" przypomina, że konsekwentnie Niemcy pchają Rosję do ryzykownej polityki azjatyckiej i umieją z niej wyciągnąć dla siebie korzyści.

Natomiast p. T. G. w *Gońcu* wypowiada pogląd odmienny:

Z racji umowy rosyjsko-japońskiej o stan posiadania w Mandżurji puszczono w obieg frazes o „powrocie Rosji do Europy". Jak przeważna większość sezonowych frazesów, tak i ten zawierał w sobie niedorzeczność. Wszystkie kwestje azjatyckie, jakie były w okresie przedwojennym, pozostały. Co więcej, skutkiem ostatnich wypadków, kwestje te jeszcze się rozszerzyły i w niektórych punktach zaostrzyły. Samo porozumienie z Japonją, któremu zrazu nadano tak przesadne znaczenie, odgrywa w rzeczywistości rolę dość skromną i nie zabezpiecza bynajmniej pokoju na czas dłuższy. Takie jest obecnie jednomyślne niemal zdanie prasy rosyjskiej.

Dzisiaj Chiny są tylko przedmiotem gry politycznej. Nie zdobyły jeszcze warunków, ażeby zostać w niej siłą czynną. Ale ciężar tego kolosu jest tak wielki, że nawet w swej biernej roli wywiera potężne ciśnienie na wszystkie stosunki międzynarodowe.

* „RUCH FILOZOFICZNY". Pierwszy zeszyt miesięcznika wydawanego we Lwowie pod kierunkiem prof. dr. Twardowskiego przedstawia się nader korzystnie i niewątpliwie wydawnictwo to, stanowiąc uzupełnienie warszawskiego *„Przeglądu filozoficznego"*, odda miłośnikom filozofji prawdziwe usługi przez swe krótkie artykuły o najwybitniejszych objawach ruchu filozoficznego, zwięzłe sprawozdania z obrad towarzystw filozoficznych i tp. W artykule wstępnym pisze H. Struve o polskiej filozofji narodowej i w przeciwieństwie do swych prac poprzednich, w których starał się określić indywidualny charakter naszej filozofji, odbijający właściwości umysłowe narodu, stawia jej zadanie skromniejsze: ciągłości rozwoju, tak aby każdy nowy pracownik uwzględniał swoich poprzedników przedewszystkiem w literaturze polskiej. Ze sprawozdań wymienimy recenzję dr. Bandrowskiego o nowej pracy E. Abramowskiego: „Badania doświadczalne nad pamięcią", dr. Witwickiego o pracy Jamesa: A pluralistic uniwerse (zakończonej zdaniem: „Podobniejsze to wszystko do wesołej pogawędki przy kawie pomiędzy filozofami, których nie słyszy nikt obcy, niż do gruntownej rozprawy filozoficznej, ale i w tym coś jest, tyko można to wszystko inaczej powiedzieć") dr. Tatarkiewicza o pracy Cassiwera „Substanz und Funktionsbegriff". Przegląd nowszych pism, sprawozdania z posiedzeń towarzystw filozoficznych we Lwowie, Warszawie, Krakowie, zapiski bibliograficzne, wiadomości osobiste i tp. wypełniają ten niewielki co do objętości, ale bogaty w treść zeszyt pożytecznego wydawnictwa. .

Z prasy rosyjskiej.

* PRZESILENIE UNIWERSYTECKIE. Zajścia w uniwersytecie petersburskim, pomimo osaczenia go zewnątrz i wewnątrz przez policję, przechodzą wszelkie granice. Wychodzącego z sali wykładowej prof. Iwanowskiego student Brjanow uderzył pięścią w głowę; profesorów Petrażyckiego i Pergamenta, wygwizdano. Oczywiście w ślad zatym idą aresztowania. Jednego tylko dnia 14-go b. m. aresztowano 413 studentów; Brjanowa osadzono w więzieniu celkowym.

Minister oświaty Kasso, wypytywany przez współpracowników *Nowego wremieni*, oświadczył, co następuje

„Uniwersytety powinny być i będą czynne. Możność kształcenia się będzie zapewniona życzącym się kształcić. Studenci, którzy nie chcą sami pracować i przeszkadzają innym, będą wydaleni. Będzie to nie kara, nie represja, lecz wynik logiczny ich postępowania."

Zapytany o nową ustawę uniwersytecką, której projekt opracował był p. Schwartz, minister odpowiedział:

„Uważam za niewłaściwe i niedopuszczalne, ażeby co lat dwadzieścia wprowadzano nową ustawę uniwersytecką. Niemasz tego nigdzie, tylko w Rosji. Sporządzanie nowego projektu uznaję za niepotrzebne i bezcelowe. Zmiany i reformy należy zaprowadzać stopniowo, ostrożnie, odpowiednio do wymagań życia, potrzeb uniwersytetu i państwa. Ustawa z r. 1884 posiada sporo stron dodatnich; uzupełniona ukazem wrześniowym, może działać wyśmienicie.

„Zaprowadzanie kolejne ustaw, wręcz sobie przeciwnych, doprowadziło do upadku uniwersytety rosyjskie. Obecnie wakuje 120 katedr: taki jest brak profesorów. Zamierzam wysłać za granicę, do Berlina, Heidelberga i Paryża odpowiednią liczbę młodzieńców, aby wyrobili się tam na profesorów..."

Teraz liczba wakujących katedr, podana przez ministra, podwoiła się chyba.

Trzydziestu pięciu najwybitniejszych profesorów i docentów najstarszego w Rosyji uniwersytetu — moskiewskiego, podało się do dymisji. Uczynili to po otrzymaniu wiadomości, że minister oświaty, pominąwszy kuratora okręgu, udzielił bez prośby dymisji rektorowi, prof. Manuiłowowi, i jego pomocnikom, profesorom Minakowowi i Menziberowi.

Na to samo zanosi się w Petersburgu. Rektor Grimm i jego pomocnicy podali się sami do dymisji i pozostali na stanowiskach jedynie na prośbę senatu uniwersyteckiego w oczekiwaniu odpowiedzi na wystosowane do ministra oświaty podanie, aby wyjednał u prezesa ministrów cofnięcie policji z uniwersytetu.

KRONIKA.

SEKCJA FILOZOFICZNA ZWIĄZKU NAUCZ. W WARSZAWIE. Od dłuższego czasu pośród członków Polskiego Związku Nauczycielskiego nurtowała myśl o potrzebie stworzenia sekcyi, w której zrzeszeni mieliby możność wspólnej pracy nad zagadnieniami z dziedziny filozofji i psychologiji. Zeszłoroczne wykłady prof. Twardowskiego, zaproszonego przez obie instniejące w Warszawie instytucje nauczycielskie, były wyrazem świadomości potrzeb w tym kierunku. W grudniu r. 1910 Związek postanowił przystąpić do urzeczywistnienia myśli, zebranie organizacyjne tworzącej się sekcji odbyło się dnia 13-go stycznia 1911 r., przyczym na przewodniczącego powołano p. K. Wóycickiego, na sekretarkę p. Zofię Perkowską. Czynny współudział w pracach sekcyi przyrzekł p. Münzer. Zgromadzeni powzięli uchwałę, aby na razie rozpocząć zajęcia o charakterze seminaryjnym od wspólnego omawiania dzieła E. Macha p. t. „Die Analyse der Empfindungen".

KONGRES MONISTÓW. Pierwszy Kongres Monistów odbędzie się w Hamburgu od 8 do 11 września 1911 r. Na tym kongresie, który ma być urządzony przez grupę Hamburską Niemieckiego Związku Monistów, przedstawione będą szerokiemu ogółowi podstawy naukowe monistycznego poglądu na świat — przez najpierwszorzędniejsze siły naukowe.

Odczyty wygłoszą: prof. dr. Franke Arrhenius (Stockholm), prof. dr. Fryderyk Jodl (Wiedeń), prof. dr. Jaques Loeb (New-York), radca tajny prof. dr. Wilhelm Ostwald (Lipsk, prezydjum honorowe obejmie prof. dr. Ernest Haeckel. Wstęp na odczyty, które się odbędą w wielkiej sali Conrentgarten — wolny.

Dla sprostowania błędnych mniemań o monizmie Komitet Kongresu stwierdza w słowach następujących prawdziwe cele i znaczenie monizmu:

„Monizm, jako ruch społeczny, stara się sformować wytwarzający się z wiedzy pogląd na świat i życie i wcielić w rzeczywistość praktyczne tegoż wyniki.

Monizm nie zna żadnych pozaświatowych lub nadnaturalnych istot i sił, któreby mogły dowolnie mieszać się do zjawisk przyrody lub życia ludzkiego.

Monizm widzi więc i w religjach nie nadprzyrodzone objawienia, lecz podlegające zmianom wytwory życia uczuciowego i intelektualnego różnych narodów w czasach rozmaitych. Zarówno są też dla monizmu i wymagania moralności nie przykazaniami nadnaturalnemi, lecz wynikiem koniecznym wspólnego życia ludzi. Zarówno, jak moralność rozwinęła się z natury ludzkiej tak też zdolną jest ona do dalszego rozwoju. Monizm uważa za jedno z najwyższych swych zadań wybudowanie etyki na tych zasadach.

Monizm uważa państwo również za wytwór ludzkiej walki o byt i ludzkiego dążenia do organizacji i spostrzega cel rozwoju państwa w tym, aby powiększać najbardziej możliwą swobodę, jednostki z zupełnym porządkiem całości.

Monizm zdąża do połączenia wszystkich osób i stowarzyszeń, stojących na gruncie światopoglądu naukowego, aby w ten sposób stawić opór mocom bardzo wpływowym, które wciąż są skłonne do uciskania swobody badań i swobody sumienia".

O wyjaśnienie dotyczące Kongresu i ruchu monistycznego zgłaszać się można do redakcji czasopisma „Der Monismus" i sekretarjatu Związku (München, Wainstrasse 8, I), albo też do członka zarządu grupy Wiedeńskiej dr. Aug. Wróblewskiego (Baden, Nied. Oesten., Franeustrasse 4).

Notatnik wydawniczy.

Treść **Steru.** Zeszyt Nr. I. Rok 1910. Do Społeczeństwa, Związek równ. kobiet pol. Koniec obrad, Marja Dulębianka. Kobieta w Akademji Nauk. Zanik odwiecznej kobiecości, tłum. R. P. Nie tędy droga, Dr. J. Budzińska-Tylicka. Z życia kobiet polskich w Ameryce, Stefanja Laudyn. Wrażenia z Bonn, Teresa Lubińska. Czy kształcić włościanki? Marja Biniechówna, Panna Maliczewska K. B. Wieczory dyskusyjne. Wacław Nałkowski. Przegląd prasy równouprawnienia. Nowe pisma. Książki nadesłane do Redakcji Odpowiedzi Redakcji. Ofiary. Od Admistracji. Ogłoszenia. Dodatek powieściowy: Kobiety, które wołanie dosłyszały.

Lutowy zeszyt **Biblioteki Warszawskiej** zawiera treść następującą: „Na rozdrożu" przez Szymona Askenazego, „Opoka" przez Kazimierza Zdziechowskiego, „Romantyzm w komedji Fredry" przez dr. Eugeniusza Kucharskiego, „Walka z Kościołem we Francji" przez dr. A. Peretjatkowicza, „Nasza Harfa" przez Marję Konopnicką, „Elektryczna teorja materji" przez dr. J. Szretera, „Z obozu klasyków" przez dr. Marjana Szyjkowskiego, „Ruch literacki we Francji" przez Orwida. Zwykłe działy: — Piśmiennictwa, Kronika miesięczna, Wspomnienie pozgonne i Wiadomości naukowe, literackie i bibliograficzne uzupełniają treść zeszytu.

Przy miesięczniku **Sfinks** zaczęła się ukazywać *Bibloteka Sfinksa* pod redakcją komitetu złożonego z p p.: Wł. Bukowińskiego, Ignacego Chrzanowskiego, Aurelego Drogoszewskiego, Ignacego Matuszowskiego, Rafała Radziwiłłowicza i Stefana Zeromskiego. Jako pierwsze wydawnictwa ukazały się przedruk znakomitej rzeczy Maurycego Mochanackiego. „O literaturze polskiej w wieku XIX" z przedmową A. Drogoszewskiego i pierwszy tom głośniej powieści Romain Rollanda „Jan-Krzysztof" w tłomaczeniu Jadwigi Sienkiewiczówny.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: Józef Jabłoński. **Redaktor: Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.